

II INNE PISMA

1. Odezwa do katolików na Górnym Śląsku. *Towarzystwo Bożego Grobu* [R. 8:1875 s. 321—333]. Toż: Druk ulotny. Jerozolima, dnia 30 października 1875. Druk. Teodora Zalewskiego w Gliwicach 4° ss. nlb. 4.

2. [List do brata Dominika Koczura] W: tegoż: *Pielgrzymka misyjna do Ziemi Świętej*, Syrii, Samarii, Galilei i Egiptu... Frydek 1880 s. 336.

PAWEŁ ŻÓLTOWSKI

**WSPOMNIENIA
O KARDYNALE ADAMIE STEFANIE SAPIEŻE
Z OKAZJI 60-LECIA INGRESU
NA KRAKOWSKĄ STOLICĘ BISKUPIĄ**

Okres lat 60-ciu jest, sędzę, dostatecznie długi, aby umotywić chęć przywołania na pamięć następnych pokoleń niektórych istotnych i ciekawych szczegółów, związanych z przejściem w nowe ręce władzy nad diecezją krakowską. Perspektywa lat i zejście z tego świata większości współczesnych temu wydarzeniu ludzi pozwala na beznamietne i bezstronne przedstawienie wypadków, mogących w danej chwili podlegać osądom stronniczym. Pragnąłbym również przy tej sposobności podzielić się z czytelnikami pewnym zasobem osobistych wspomnień, związanych z osobą Kardynała Sapiehy, którego niecodziennej miary postać jest zapewne jeszcze w pamięci znacznej ilości osób, które część swego życia przepędziły, gdy On był jeszcze wśród nas.

Właściwości charakteru mego Wuja, najmłodszego brata mej Matki, oraz zbieg okoliczności w mym życiu sprawiły, że z całej Jej rodziny do Niego szczególnie się zbliżyłem, co pozwoliło mi na poznanie Go lepiej, obserwowanie w różnych okolicznościach, zwłaszcza ostatnich sześciu lat Jego życia, wysłuchanie niejednej Jego uwagi, wypowiedzianej w zupełnej swobodzie i szczerości, słowem, na nawiązanie ściślejszego z Nim kontaktu. Wynikiem tego stanu rzeczy było z mej strony szczere i głębokie przywiązanie się do Wuja Adama oraz ściśle życie się z Nim, wywołujące obecnie po Jego śmierci w mej duszy uczucie pustki i osierocenia. Niech tych kilka słów wystarczy, by wytłumaczyć czytelnikowi mych wspomnień, dlaczego postanowiłem poświęcić Jego pamięci nieco więcej uwagi i miejsca, pragnąc w ten sposób uzupełnić to, co już poprzednio o Nim zanotowałem.

Indywidualność Wuja Adama, stanowisko, jakie w kraju zajmował i rola, jaką odegrał, uzasadniają zresztą w pełni moje życzenie. Narysowanie Jego charakterystyki, oddanie słowami głównych właściwości tej niecodziennej natury, wytłumaczenie jej odruchów, wszystko to nie należy do rzeczy łatwych. Będzie to tym trudniejsze dla mnie, ponieważ pewne cechy tej indywidualności były mi może zbyt dobrze znane, jakoby zbyt codzienne, uważałem je niejako za tak naturalne, komentarzy i wytłumaczeń nie wymagające, że mogły nieraz ująć mej uwagi i w pamięci śladu nie pozostawić. A były to może podstawowe rysy Jego cha-

rakteru, które podkreślić i wytłumaczyć wypadałoby. Wspólność podłoża, na którym się wyrosło, kryje w sobie to właśnie niebezpieczeństwo. Daje ono natychmiast inne rękojmie dla dalej stojących ludzi niedostępne.

Indywidualność Wujka Adama jest trudna do określenia, przeanalizowania czy posegregowania. Było w nim coś niezmiernie subtelnego, cienką i niewidzialną nicią wyhaftowanego, dla czego brak łatwej do znalezienia definicji. A było to przecież coś, co uważać należy za źródło wpływu, jaki na otoczenie wywierał, niejako za podstawę Jego powodzenia życiowego. Nie górował zdolnościami, talentem oratorskim, pisarskim czy innym. A jednak jakżeż wyraźnie górował! Pociągał i przywiązywał do siebie właściwie wszystkich, bo na równi nas, siostrzeńców i siostrzenice, jak księży, kleryków, szary tłum krakowski z tysięcy anonimowych serc i umysłów złożony. Co ich ciągnęło, na czym polegała ta jakaś siła magnetyczna, którą rozciągała drobna postać Wujka Adama? Znalezienie trafnej odpowiedzi na to pytanie, byłoby zarazem rozwiązaniem zagadki całej Jego natury.

Urok tego człowieka i siła charakteru, które w rezultacie zawiodyły dziesiątki tysięcy ludzi w ślad za Jego trumną, były dwojakiego pochodzenia: przyrodzone i nabyte, względnie zasługą długiego życia urobione.

Pierwszym ulegałem od najmłodszych lat mego dzieciństwa, kiedy pojawienie się w Krasie młodego wówczas księdza Adama, a naszego umiłowanego Wujka, witaliśmy z tak wielką odruchową radością. Tchnęła z niego życzliwość, wesołość, wreszcie szczególna prostota w obejściu, które nie mogły nie ująć serc i umysłów dziecięcych. Ta łatwość nawiązywania styczności z otoczeniem była mu właściwa, niezależnie od stanowiska, jakie zajmował i roli, jaką odgrywał. Dopuszczał on nas dzieci do pewnej nawet poufności, która jednakże natrafiała odruchowo na naturalną jakby granicę. Był w Nim świat uczuć i myśli, który stanowił wyłączną Jego własność, a którego istnienie można było odgadnąć i domyślić się go, lecz trudno było od Niego samego coś posłyszeć. Była to, sądzę, dziedzina przeżyć duchowych, mistycyzmu nie pozbawiona, będąca zapewne źródłem Jego kapłańskiego powołania i na której rozwinęła się wielka i gorąca Jego pobożność.

Temu urokowi młodości, wesołości, prostoty, bezpośredniości, a jednocześnie może pewnej tajemniczości, jeżeli tak to określić można, ulegałem więc już lat temu 60 z górą. I ten stan rzeczy trwał nieprzerwanie przez dalsze lata mej młodości i młodzieńczego wieku, niezależnie od tego, czy widywałem mego Wujka rzadko tylko, czy też częściej. On sam wstępował tymczasem na coraz to nowe i wyższe szczeble swego kapłańskiego życia. Wiodło go ono, jak wiadomo, z jazłowieckiego wikariatu, poprzez dalsze studia w Rzymie, seminarium lwowskie, gdzie wychowywaniem kleryków się zajmował, kanonię w tymże mieście położoną, watykańskie komnaty, biura i kulisy, wprowadzając Go do

grona najbliższych św. Piusa X współpracowników, aż Go doprowadziło w 1912 roku na książęco-biskupią stolicę krakowskiego grodu.

Urok dawniejszy młodego księdza i bardzo kochanego Wujka wzmógł się i jakby spotęźniał. Został nasilony urokiem i podziwem dla osoby Księcia Kościoła, coraz to nowe cechy nieprzeciętności wykazującego. Kiedy słyszało się kolejno o Jego gorącym przejęciu się losem nieszczęśliwych ofiar wypadków wojennych 1914-go roku i powstaniu książęcego Biskupiego Komitetu Pomocy, o energii, odwadze i nieustępliwości, z jaką wobec ówczesnych władz zaborczych występować umiał, czuło się i rozumiało, że w tym człowieku mieszka niecodzienna dusza. Wrażenie to wzmagało się i w następnych międzywojennych latach z okazji licznych wystąpień, coraz to większym zdecydowaniem, niezależnością sądu, cywilnej odwagi i śmiałego przekonania o słuszności bronionego przez siebie stanowiska nacechowanych.

Aż nadszedł rok 1939 i ostatnie 12-lecie Jego życia i poczyniń, kiedy starzejący się ten już człowiek wysunął się bezwiednie na czołowe w kraju stanowisko, kiedy stał się ostoją znękanego, wyczerpanego, ostatkiem sił goniącego społeczeństwa. Na drobną Jego i już pochyloną postać skierowały się oczy narodu, od najprostszycy i najmniej uświadomionych, szarych ludzi poczynając a na najwytrawniejszych, w pełni grozę piętrzących się nieszczęść pojmujących kończąc. Wówczas to słyszałem w tłumie schodzącym z wawelskiego wzgórza, po zakończeniu jakiegoś nabożeństwa, po którym nastąpiła zwykła, żywiołowa na cześć Kardynała manifestacja, uwagę, przez nader niepozornie wyglądającego robotnika wypowiedzianą: „Bo On się nigdy nie ugiął i zawsze Polaków na duszy podrzymywał!”

Tak to urok i siła człowiekowi temu przyrodzone, zostały rozwinięte, wielokrotnie wzmożone i uzupełnione przez zasługę i świadome swych odpowiedzialności życie. Aż ześrodkował On na sobie uwagę, przywiązanie, nadzieję i ufność wszystkich i to w tym stopniu, w jakim niewątpliwie od wielu pokoleń nikt w Polsce uczynić nie potrafił. Stał się bowiem symbolem prawości, odwagi, nieskazitelności oraz niezłomności, wreszcie patriotyzmu, w czasach, gdy cnoty te nieraz drogo okupywać przychodziło.

Czym wytłumaczyć to zjawisko, czemu je przypisać, jakimi właściwościami charakteru Wujka Adama umotywować? Urodził się On w środowisku, w którym poczucie odpowiedzialności społecznej, pełne zrozumienie i docenianie roli i obowiązków, jakie nakładała przynależność do tej właśnie grupy socjalnej, nie było czczym frazesem. Dowodzi tego w dostatecznie wyraźny sposób rola, jaką odegrał w ciągu 19-go stulecia w Polsce ojciec Jego, a mój dziad Adam Sapięha, jak również tegoż ojciec Leon. To samo stwierdzić można i po stronie matki Kardynała Jadwigi z Sanguszków. To pochodzenie tłumaczy niewątpliwie niejedyn rys Jego charakteru. Niezłomność przekonań, gorącość uczuć, najdalej posunięta bezinteresowność, gdy o sprawy publiczne chodziło,

odwaga cywilna, prawie chwilami do braku roztropności posunięta, bezpośredniość w stosunkach z ludźmi, wszystkie te właściwości mógł Wuj Adam posiadać dzięki nieuchwytniej grze sił dziedziczności i wpływom tradycji ródzinnego środowiska. Dochodziła do tego zaleta prostoty w obejściu i wstręt do wszelkiej sztucznej i wymuszonej godności, czy nadętości, które na osobną wzmiankę zasługują, gdyż stanowiły tak szczególny urok Kardynała. One pozyskiwały Mu niewątpliwie sympatię wielu i sprawiały, że garnęli się do Niego ludzie różnego pochodzenia, różnej kultury i z najróżniejszych środowisk pochodzący. Ta prostota sprawiała zarazem, że chociaż nikim nie gardził i nikogo nie odtrącał, umiał przecież zawsze zachować swoją własną, oryginalną i niezmiennie wyraźną indywidualność. Trzeba było widzieć np. twarze kleryków, wychodzących z periodycznych posłuchań u Kardynała, których dwa razy na rok każdemu z nich udzielał, dla poznania tego narobku kleru diecezjalnego; trzeba było obserwować reakcje Jego najbliższego otoczenia na Jemu tak właściwy sposób bycia, aby docenić i zrozumieć, jakich cudów jednania sobie ludzi dokonywała ta niezrównana zaleta prostoty w obejściu, tak wybitnie Go charakteryzująca. — Tak wyglądała w kilku słowach nakreślona kanwa, na której życie haftowało dalsze, bardziej już złożone właściwości natury mego Wuja Adama.

Należy, sądzę, na pierwszym miejscu wymienić niezmiernie silne i czule, coraz głębiej w Jego istotę sięgające poczucie odpowiedzialności za powołanie Go na stanowisko, na którym przyszło Mu stanąć na straży w Bożym imieniu tego, co na świecie jest najcenniejszym, na straży dusz ludzkich. Wchodzimy tu już oczywiście w zakres życia najściślej z Jego rolą duchownego i to Biskupa związany. Toteż z pewną nieśmiałością i z pewnym lękiem podchodzę do tego zagadnienia, które za rodząj sanktuarium każdego księdza uważać należy. Stajemy tu bowiem na skrzyżowaniu dróg życia ludzkiego z promieniami łaski nadprzyrodzonej. W wypadku Wuja Adama było to sanktuarium pilnie strzeżone, na wysokim umieszczone cokołe, więc dla oczu postronnych trudno widzialne i dla ciekawości mało dostępne. Nie odważę się na próbę precyzowania, jak On swą rolę pasterza Chrystusowego pojmował, czy wykonywał. Widziałem natomiast i wyczuwałem niejednokrotnie, w jak wielkim stopniu odpowiedzialność swoją w tym zakresie rozumiał. A miarą tej Jego wrażliwości były słowa, wypowiedziane przy mnie krótko przed śmiercią, w chwili, gdy po ostrym kryzysie choroby powrócił do przytomności i sił trochę nabral. Był wyczerpany chorobą, brakiem pożywienia, którego przez długi okres przyjmować nie mógł, najzupełniej bezwładny i na pomoc otoczenia zdany, słowem do normalnego życia niezdolny. Wtedy to któregoś dnia przy mnie powiedział: „Żebym ja wiedział, czego P. Bóg ode mnie chce”. Czy mógł w danych okolicznościach wyraźniej dać do zrozumienia, że główną Jego troską wobec niemożliwości sprostania normalnym powinnościom swego stanu

jest zrozumienie, czego chce od niego Mocodawca Jego. Czy słowa te, wychodzące z ust człowieka w stanie zupełnego bezwładu będącego, nie są dowodem niczego innego, jak tylko do głębi duszy sięgającego przeświadczenia o odpowiedzialności wynikającej z spoczywającej w bezsilnych już Jego rękach władzy.

Sądzę, że z tego poczucia musiała, częściowo w każdym razie, wynikać niezwykła, choć przed oczami ludzkimi pilnie ukrywana pobożność mego Wuja. Kładę nacisk na słowo „częściowo”, bo trudno niewątpliwie odgadnąć całą gamę myśli i uczuć, które na tak wielką, niczym nie skażoną pobożność się składały, jaką można było u Niego niejednokrotnie zaobserwować. Nie była ona na pokaz, jak nic w tej naturze z płytkich i poziomych nie wypływało motywów. Ona stanowiła bez wątplenia wybitny rys Jego charakteru. Czy wspomnę dawne wrażenia, jakich z lat dziecińczych doznawałem, patrząc na tego wówczas młodego księdza u stóp ołtarza w kraciczyńskiej, zamkowej kaplicy, czy pomyślę o Nim, gdy o zmroku modlił się sam jeden w pustej kaplicy arcybiskupiego pałacu w Krakowie, dokąd pozwolił mi sobie towarzyszyć, czy wreszcie uprzytomnię sobie, z jaką żarliwością, przejęciem i najgłębszym przekonaniem starał się odmawiać różaniec w czasie ostatniej choroby, kiedy do czytania brewiarza już Mu sił i przytomności nie stawało, a każde słowo koronki wychodziło z ust Jego z największym wysiłkiem, zawsze odczuwało się to jakieś niezgłębione przeświadczenie o doniosłości i skuteczności aktu modlitwy. Myślę, że w tej głębokiej pobożności, która drugą naturą Mu się stać musiała, płynęła niezrównana pogoda ducha, której dawał tylokrotnie dowody. Była ona niezniszczalna, bo ani wszelkie przeciwności życiowe i upokorzenia, ani ciężar odpowiedzialności, jaką dźwigał, ani wiek i zanikanie sił fizycznych nie potrafiły uszczerbku jej uczynić. Chociaż zastawało się Go czasem zniechęconego i znużonego, chociaż nie widział w danej chwili wyjścia z trudności, a groza danej sytuacji zdawała się Go przynęcać, przecież zawsze brała w Nim górę w rezultacie ta jakaś wewnętrzna pogoda czy harmonia. A jakżeż się ona drugim udzielała! W najprzykrzejszych chwilach, nawet wówczas gdy właściwie nic pocieszającego powiedzieć nie umiał, ani rady udzielić nie był w stanie, zawsze wychodziło się od Niego jakoś pokrzepionym. Emanowała z Niego siła kojąca i uszlachetniająca, której źródło trudne jest do określenia, lecz jednym z czynników, jakie na nie się składały, była niewątpliwie owa pogoda ducha, rzadko w tym stopniu spotykana.

Czy na tym wyczerpałem możliwości nakreślenia szkicu osoby Wuja Adama, czy nie uprościłem próby przedstawienia tego człowieka takim, jakim rzeczywiście był, czy nie pominąłem rzeczy istotnych, które zrozumienie Jego indywidualności ułatwić by mogły? — Jest rzeczą niewymownie trudną wczuć się w psychologię innego człowieka, zrozumieć jego odruchy, odgadnąć motywy Jego poczynań. Mam wrażenie, że w tym wypadku jest to podwójnie rzeczą niełatwą. Toteż bynajmniej

nie myślę, aby szkic powyższy był zupełny. Znajomość moja osoby mego Wuja była może zbyt jednostronna i niekompletna. Byłbym jednakże rad, gdyby to, co napisałem, ułatwiło zrozumienie niezwykłego i rzadko spotykanego przywiązania, jakim Go otaczano, tak że przeniesienie zwłok Jego na Wawel i złożenie ich tam na wieczne spoczywanie istnym pochodem triumfalnym nazwać można.

✦

Pragnąłbym z kolei przystąpić do bardziej już szczegółowych wspomnień, które może przyczynią się do lepszego zrozumienia tego, co powyżej zanotowałem. Trudno pisząc o Wuju Adamie, nie poświęcić trochę uwagi Jego matce, a mojej Babce, Jadwidze z Sanguszków. Wydaje mi się, że niejedną właściwość charakteru jej zawdzięczał, tak jak z rysów, zwłaszcza pod koniec życia, żywo ją przypominał. Ogromną skromność osobistą i prostotę w obejściu, jak również bezpośredniość w stosunkach z ludźmi mógł niewątpliwie po matce odziedziczyć. Moja babka odznaczała się poza tym wielką pogodą ducha, słodyczą i łagodnością w obejściu, wyrozumiałością i opanowaniem. W jakim stopniu właściwości te umiała w sobie wyrobić, czy też posiadała je z przyrodzenia, trudno mi osądzić. W każdym razie w latach, do których pamięcią sięgam, one stanowiły jej wybitną cechę. Nie pamiętam, bym ją widział kiedykolwiek rozgniewaną, czy poważnie rozdrażnioną. Była jednakże gorących uczuć, a pewne rzeczy, zwłaszcza z dziedziny uchybień etycznych czy moralnych oburzały ją bardzo głęboko. Przejmowała się i zamartwiała losem swych bliskich, ich trudnościami, doświadczeniami i kłopotami. Równowaga wewnętrzna, do której dojść potrafiła, miała niewątpliwie swe źródło w ogromnej i gorącej jej pobożności. Była widocznie głęboko wierzącą i musiała mieć bogate i wszechstronne życie wewnętrzne, skąd rodziła się zapewne pogoda i łagodność, malujące się tak na jej obliczu jak i emanujące z całej jej osoby. Mając do czynienia z naturą gwałtowną oraz porywczą i burzliwym temperamentem mego Dziadka, musiała mieć nieraz niełatwe przeprawy. Zresztą i życie przynosiło jej ciężkie do zniesienia próby. Rok 1863-ci, oraz lata poprzednie, w których Adam Sapieha w wypadkach politycznych dużą odegrał rolę, jego uwięzienie na skutek udziału w powstaniu, ucieczka z więzienia we Lwowie i wyjazd całej rodziny na emigrację do Francji, oto zewnętrzne ramy, w których spędziła moja Babka pierwsze lata swego małżeńskiego życia. W późniejszych czasach nie brakło również trudności. Śmierć syna Leona, powikłania w interesach mego Dziadka na skutek strat poniesionych przez bank kredytowy we Lwowie, które zostały w całości przez niego z własnych funduszków pokryte, wreszcie częste zapadanie

jego na zdrowiu, to wszystko nastroczało mej Babce niewątpliwie niejedną chwilę goryczy i zwątpienia. Mam jednakże przekonanie, że należała do tego typu osób, które nigdy nie wąpiły, bo głęboko miała zakorzenione w duszy przeświadczenie o Bożej ingerencji w ludzkie sprawy.

Czy ta sylwetka mojej Babki, a matki Wuja Kardynała, którą w kilku zaledwie zdaniach starałem się naszkicować, ułatwi zrozumienie niektórych cech Jego charakteru? — Był on pod wielu względami odbiciem natury swego ojca. Kto jednakże pamięta, jak gorąco moja Babka dbała o to najmłodsze dziecko, z jaką troskliwością odnosiła się do każdej sprawy związanej z „Adasiem”, z jaką dumą i rozrzewnieniem patrzyła na niego, a wreszcie, jak żarliwie modlić się umiała, ten musi żywić najgłębsze przekonanie, że tak drogą dziedziczności, jak przez wpływ bezpośredni oddziaływanie matki na syna musiało być niepoślednie.

Po śmierci mego Dziadka w 1903 roku, moja Babka coraz więcej czasu z najmłodszym z synów spędzała, aż w Krakowie na stałe osiadła. Za pobytu mego Wuja w Rzymie nieraz do niego jeździła. Wówczas to Pius X zasłyszawszy, że przyjeżdża „la mamma” jego monsignora, obszerniejsze mieszkanie przeznaczyć mu kazał, by jej zapewnić miejsce u syna. Mój Wuj opowiadał, że korzystała ona rzadko z tej dogodności, lecz większe mieszkanie pozostało mu dzięki niej do końca.

Z pamiętnika mojej Babki Jadwigi z Sanguszków Sapieżyny.

Rzym w roku 1908-mym.

Audiencja u Ojca św. (św. Piusa X.) dnia 13-go kwietnia w poniedziałek o godzinie 5. Zeszliśmy się z Seweryną Sapieżyną (z Uruskich, żoną ks. Leona z Bilki, a matką Eustachego)¹, jej córką Wandzią, Andrzejami Lubomirskimi z córkami Halką i Terenią, Jerzym synem. Wprowadził nas mój drogi syn w swoich fioleciech. Ojciec św. przywitał mnie ze swoją zwykłą dobrocią, uprzejmością, wyrazami „Carissima Principessa”, zapytywał gdzie mieszkam. Namawia bardzo, abym się przeniosła do Watykanu, ponieważ mój syn ma teraz obszerny apartament, dużo pokoi. Ale czas tak zimny, pokoje nie ogrzewane, obawiam się, że wielką zrobiłabym Jemu i sobie niedogodność, ponieważ za dwa dni ma przyjąć Xięcia Bülowa. Nie mogłam się wstrzymać, żeby Jemu nie powiedzieć, że przyjęcie tego Xięcia będzie wielką dla niego boleścią, zważywszy to wszystko co on czyni. Taki wróg naszego narodu powiedziałam „a fatto tanto malo ala nostra natione”. Na to Ojciec św. odpowiedział: „Ce e como una anguilla, tak się wyślizga, jak jego za ogon złapać, to się pyszczkiem wyslizgnie”.

Wuj Adam nie lubił niestety, czy też nie umiał, opowiadać o swych przeżyciach i ludziach, których znał. Kryła się za tym usposobieniem przede wszystkim niechęć do mówienia o sobie. Za-

¹ Eustachy Sapieha, późniejszy minister spraw zagranicznych.

gadnienia związane z chwilą bieżącą nazbyt go zajmowały i uwagę jego skupiały, gdyż był on nade wszystko realizatorem, a na wspomnianie przeszłości niewiele pozostawało czasu. Życie mu schodziło zresztą na paraniu się z niezwykłym „doborem” zagadnień i trudności! Toteż niewiele wiem o tym, co za lat swego pobytu w Rzymie widział i czym tam był szczególnie zajęty. O Piusie X. rzadko wspominał, lecz czynił to z wielkim dla zmarłego papieża szacunkiem i uznaniem. Na moje pytanie, czy za swej służby w Watykanie słyszał o cudach, które już za życia tego papieża, za jego sprawą, dziać się miały, odpowiedział mi jedynie, że owszem pamięta, iż o tym podówczas w Watykanie mówiono. (Pewnego dnia powiedział wprost Ojcu św.: „Mówią, że Wasza Świątobliwość czyni cuda”, a wówczas usłyszał odpowiedź: „P. Bóg wszystko może”).

Doszła natomiast do mej wiadomości ciekawa informacja o tym, jak stanowisko Wuję Adama oceniano w środowisku, którego wpływy w Watykanie wypadało mu niewątpliwie śledzić, względnie równoważyć, mianowicie w sferach bliskich ówczesnego rządu Rzeszy niemieckiej w Berlinie. Szczegół ten pochodzi od człowieka w tych latach dość znanego, mianowicie od Bogdana Hutten-Czapskiego, autora pamiętników w okresie międzywojennym wydanych. Czapski odgrywał w ostatnim lat dziesiątku 19-go i pierwszym 20-leciu obecnego stulecia pewną rolę na terenie Berlina jako Polak, który pasję do polityki i chęć odgrywania roli, w zakulisowych zwłaszcza rozgrywkach, posunął aż tak daleko, że w polskich środowiskach Poznania za renegata był uważany, a w sferach rządowych berlińskich cieszył się szerokimi wpływami i stosunkami. Bywał on często w Rzymie, gdzie miał ponoć w watykańskich kołach niejedno do powiedzenia. Ten to Czapski napisał po nominacji Wuję Adama na biskupa krakowskiego do ówczesnego kanclerza Rzeszy Bethmana-Hollwega list, z Rzymu datowany w którym komentując ową nominację dodaje od siebie, iż sądzi, że obecnie sytuacja rządu niemieckiego (w Rzymie) będzie zapewne łatwiejsza. („...dass jetzt Ihre Lage hier wird wohl leichter werden...”). Miała to być oczywiście aluzja do faktu, że odejście Wuję Adama z Watykanu ułatwi rolę rządu niemieckiego w sprawach polskich tamże. Innymi słowy obecność Sapiehy w Rzymie była widocznie do tego czasu pewną przeszkodą w prowadzeniu swobodnej akcji antypolskiej na terenie Watykanu przez urzędowe sfery niemieckie. — List powyższy znalazł się wraz z licznymi innymi dokumentami w Smogulcu, majątku Czapskiego w Poznańskim, gdzie redagowano w latach międzywojennych wspomniany pamiętnik. Otrzymał go autor (sądzę w odpisie) z archiwum niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych, razem z innymi jego papierami. W rezultacie nie został umieszczony w pamiętniku,

gdyż treść uznano przecież za zbyt uwłaczającą dobremu imieniu Wuję Czapskiego, jako bądź co bądź Polaka. Ciekawe te szczegóły doszły mnie zupełnie przypadkowo przez S. S., który współpracował z Czapskim przy redakcji jego wspomnień i w Berlinie pertraktacje z zarządem ministerstwa spraw zagranicznych przeprowadzał. Rzucają one znamienne światło na znaczenie, jakie obecności Wuję Adama w Watykanie przypisywano.

Nie chcąc, aby umieszczenie tu tej informacji szkodziło jednostronnie pamięci Bogdana Czapskiego, pragnę zaznaczyć, że chociaż do 1916 roku nie cieszył się on dobrą opinią wśród polskiego społeczeństwa, zwłaszcza w Wielkopolsce, to tym niemniej rola, jaką później odegrał przy rządzie Beselera w Warszawie, zasługuje na uznanie.

Jednym z wyraźnych dowodów, że Wuję Adama musiały łączyć z Piusem X. bliskie stosunki, jest list tego papieża pisany własnoręcznie do niego krótko po ingresie na krakowską stolicę biskupią (znajdował się on do ostatnich czasów — rok 1951 — w papierach mego Wuję). List ten zaczyna się od słów: „Carissime Monsignore!” — Dalsza treść listu nie jest istotna, lecz jego ton dowodzi żywości uczuć, które Pius X dla swego młodego biskupa odczuwał. Ojciec Konstany Czorba², brat mego wuję Jana Czorby, opowiadał, że Pius X miał wyrazić się o Wuję Adamie „mio angelo”. Sam fakt nominacji młodego prałata na pierwszą w Polsce stolicę biskupią, wskazuje na duże zaufanie, jakim cieszyć się musiał Sapieha u ówczesnego Papieża.

Sądząc z monografii, które w późniejszych latach się ukazały, musiał Pius X wyczuwać w nim pokrewną sobie duszę. Prostota, bezpośredniość, gorące przejęcie losem ubogich i cierpiących, aktywność i zmysł realizatorski, oto cechy, które u obu tych ludzi wysuwają się na plan pierwszy. Wuję Adam był w pełnym słowa tego znaczeniu „Pasterzem” i to w znaczeniu ewangelicznym: „który kładzie duszę swą za owieczki swoje”, toteż czuł się dobrze właściwie tylko w bezpośrednim kontakcie z diecezjanami swoimi. U Piusa X musiała istnieć pokrewna właściwość i podobne nastawienie. Był on niewątpliwie antytezą papieża dyplomaty. W jakim stopniu ulegał Wuję Adam wpływom swego papieża w tym właśnie kierunku idącym, osądzić trudno.

Czym dziełem była ta nominacja z 1911 roku, kto ją popierał, a kto zwalczał, czy przeprowadzenie kandydatury Sapiehy przez Kurię rzymską natrafiało na trudności, czy też przeciwnie, na te pytania niestety nie mam wyraźnych odpowiedzi. Konkordat wymagał zgody cesarza austriackiego, sądzę więc, że na terenie Wiednia musiano się tą sprawą zajmować. Według obowiązujących podówczas norm prawnych, (sądzę, że konkordatowych?) episkopat

² ze Zgromadzenia Księży Zmartwychwstańców w Rzymie.

„galicyjski” miał możliwość wysuwania kandydatów na wakującą stolicę biskupią. Z tej strony proponowano jako następców kardynała Puzyny biskupów Nowaka, Bandurskiego i kanonika Potulickiego z Ołomuńca. Kandydatura Wuja Adama nie była brana pod uwagę. Tłumaczyłoby to niewątpliwie niechęć z jaką w pewnej, nielicznej zresztą grupie duchowieństwa, przyjęta została nominacja Wuja, o czym wspominam poniżej.

Wuj Adam opowiadał mi kiedyś, że na pogrzebie kardynała Puzyny pytano go ze strony grupy konserwatystów krakowskich (Bobrzyński, czy przyjąłby nominację na biskupa krakowskiego i że z tej właśnie strony kandydatura jego doznała poparcia. Jest to tym dziwniejsze, że tzw. stańczycy byli mu niejako z tradycji przeciwni (wspomniał mi np. kiedyś, że Stanisław Tarnowski go nie lubił). Starcia mego Dziada z nimi były wówczas w świeżej pamięci wielu.

Jeżeli tym niemniej poparto projekt kreowania go biskupem-ordynariuszem krakowskim, to na pewno nie tyle z sympatii, ile, aby go od siebie uzależnić. Pozostawanie Sapiehy w Rzymie w bezpośredniej styczności z Ojcem św. mogło istotnie nasunąć politykom krakowskim spod znaku Stańczyka przypuszczenie, że młody kanonik i czynny szambelan Jego Świątobliwości gotów być w każdym razie kandydatem Watykanu. Zrobiono więc z niego co rychło i własnego kandydata. Jest to z mej strony tylko przypuszczenie, nie pozbawione jednakże wszelkich cech prawdopodobieństwa.

Potwierdzenie tej tezy znalazłem w pamiętniku namiestnika M. Bobrzyńskiego, którego urywek poniżej cytuję:

„Do zepsucia przyjaźni mojej z arcybiskupem [Bilczewskim] przyczyniła się wreszcie nominacja księcia Sapiehy biskupem krakowskim. Był jej arcybiskup przeciwny, wolał bowiem na stolicy biskupiej krakowskiej widzieć ks. Anatola Nowaka, biskupa sufragana, i uległ dopiero mojej perswazji, gdym mu przedstawił, iż jest rzeczą pożyteczną, ażeby także arystokracja polska miała w episkopacie galicyjskim swojego przedstawiciela. Uległszy, zachował jednak z tegoż tytułu do mnie urazę i objawił mi ją zaraz przy ingresie nowego biskupa w Krakowie, na którym wojsko (bez mojej ingerencji), wystąpiło publicznie i utworzyło biskupowi szpaler od pałacu do katedry, co przy innych ingresach było praktykowane. Odezwał się wówczas do mnie ks. Bilczewski: „ale toś Ekszelencja Sapieże urządził ingres wspaniały, nawet z wojskiem”. Znacznie zaś później zapytał mi się, czy prawdą jest, że Ojciec święty o nominację Sapiehy napisał list do Cesarza. „Nic o tym nie wiem”, odpowiedziałem. I powiedziałem prawdę. Gdybym jednak nie był Sapiehy proponował na biskupstwo krakowskie, przypuszczałem, iż nie jest rzeczą wykluczoną, iż Ojciec święty byłby poruszył kandydaturę ks. Sapiehy, jako swego przez szereg lat szambelana.

Okolo kandydatury tej zabiegał w Wiedniu pierwszy Zaleski, popierał ją bardzo marszałek Badeni, ażeby ród Sapiehów, frondujący dotychczas politycznie uspokoić. Fronda wychodziła głównie od ks. Pawła Sapiehy, który oddawszy się służbie administracyjnej, zgryźliwym



32. Ks. Adam Stefan Sapieha (1906)

Fot. E. Trzemeski



33. Ks. Adam S. Sapieha (1906)

Fot. E. Trzemeski

swoim temperamentem skłonny zawsze do negacji, zraził sobie wszystkich, a zawiedziony w widokach osiągnięcia namiestnikostwa, usunął się z kariery urzędniczej i ograniczał się od dawna do krytykowania wszystkiego co się działo. Ja wahałem się co do kandydatury jego brata, księdza Adama na biskupstwo krakowskie. Wiedziałem bowiem, że ojciec jego, ksiądz Adam żywił zawsze nienawiść do Potockich i do krakowskich konserwatystów, a ks. Paweł wziął tę niechęć po ojcu w spuściznę. Obawiałem się, żeby drugi syn ks. Adama, zostawszy biskupem krakowskim, nie wstąpił również w te ślady. Z drugiej strony mówiłem sobie, że długoletni pobyt ks. Adama na dworze papieskim nie minął przecież bez wielkiego wrażenia na nim i bez rozszerzenia jego horyzontu poza granice ciasnych rywalizacji, tak zwykłych wśród polskich rodów magnackich. Udałem się dlatego do kilku najwybitniejszych konserwatystów krakowskich, a w szczególności do obu Tarnowskich i przedstawiwszy im całą rzecz, zapytałem o zdanie jak mam postąpić. Oświadczyli się za tą kandydaturą, a ja korzystając z przybycia ks. Sapiehy na pogrzeb kardynała Puzyny zaprosiłem go do siebie i oświadczając gotowość zaproponowania go na biskupstwo przedstawiłem mu wszystkie moje kłopoty, jakie mam z jednej strony wskutek nieprzejednanego stanowiska wobec ludowców biskupa Walegi, a z drugiej strony wskutek licytowania Stapińskiego w radykalizmie przy reformie wyborczej przez pisma katolickie redagowane przez księży. Wyraziłem oczekiwanie, że ks. Sapieha, rozejrzawszy się w położeniu, pomoże mi do ulagodzenia tych stosunków. Przyjął to bardzo życzliwie, a konserwatyści krakowscy, zwłaszcza obaj Tarnowscy, oczekując tego samego co ja, nowego biskupa przyjęli w Krakowie najserdeczniej. Zawiedli się na tym wkrótce i poparcia jego kandydatury gorzko żalowali. W biskupie Sapieże zwyciężyła tradycja ojca i wpływ brata Pawła i pałac biskupi krakowski stał się wkrótce ogniskiem, w którym skupiły się żywioły centrum i podszywające się pod katolicyzm żywioły narodowodemokratyczne, rozsadzające stronnictwo konserwatywne krakowskie. Arcybiskup Teodorowicz stał się częstym gościem w Krakowie i pociągał za sobą chwiejącego się nieraz i niezorientowanego ks. Sapiehe.

Akcja wychodząca z tego obozu w pierwszym rządzie przeciw mnie się kierowała, a jej owocem było niespodziane wystąpienie episkopatu w sprawie reformy wyborczej².

Ta próba „unieszkodliwienia” nie długo trwać miała. Idylla, o ile o niej w ogóle mówić można, była dość powierzchowna. Kiedy po wybuchu wojny 1914-go roku powstał Naczelny Komitet Narodowy, którego emanacją były Legiony Piłsudskiego, Wuj Adam znalazł się rychło w opozycji do jego tendencji politycznych. Grupa konserwatystów krakowskich stanęła wyraźnie po stronie N.K.N., którego prezesem stał się jej członek Leopold Jaworski.

Sfery kościelne Krakowa witały nowego ordynariusza z różnorodnymi co najmniej uczuciami. Był on im obcy, przychodził z zewnątrz i był księciem Sapieha! Wszystkie te trzy powody złożyły się na chłodne przyjęcie tej nominacji. Był jednakże i dalszy powód. Poprzednik Sapiehy kardynał Puzyna miał wśród kleru swoich sympatyków i admiratorów, chociaż w społeczeństwie lubiany ponoć nie był. Żył w pewnym odosobnieniu, mało ludzi wi-

² M. Bobrzyński, *Z moich pamiętników*, Wrocław 1957 s. 370—372.

dywał i mało się udzielał. Negatywne stanowisko, jakie zajął w 1910 roku wobec uroczystości grunwaldzkich w Krakowie oraz odsłonięcia pomnika Władysława Jagiełły, ufundowanego miastu przez Ignacego Paderewskiego, pogłębiło jeszcze osamotnienie, w jakim żył Puzyna. Można też przypuszczać, że elementy młodsze w społeczeństwie galicyjskim, bardziej patriotyczne i niezależnie myślące, musiały niewielką otaczać sympatią kardynała, który swą lojalność wobec władz austriackich i cesarza Franciszka Józefa posunął aż do niezwykłego w swoim rodzaju w współczesnych czasach wystąpienia na conclave, zwołanym na skutek śmierci papieża Leona XIII.

Na ówczesnym conclave doszło do starcia grupy zwolenników kardynała Rampolli, popieranego przez Francję, z grupą filoniemiecką. Wybór Rampolli zdawał się zapewnionym, gdy kardynał Puzyna w imieniu cesarza austriackiego zgłosił protest, powołując się jakoby na istniejący precedens i wynikające z niego „uprawnienie” cesarza „Św. Rzymskiego Imperium Niemieckiej Narodowości” (za którego następcę uważał się Franciszek Józef) do przedstawienia tego rodzaju zastrzeżeń, co do kandydatury na nowego papieża. W wyniku tego wystąpienia kardynał Rampolli nie został wybrany, a wyłonili się nowa kandydatura kardynała Sarto, który został obrany Głową Kościoła i przeszedł do historii jako św. papież Pius X. Zaznaczyć wypada, że żaden inny kardynał czy to niemiecki, czy z terenu Austro-Węgier nie zgodził się na spełnienie tej misji, za wyjątkiem kardynała Puzyny.

Nieco odmienna jest wersja tego wydarzenia w pamiętniku ks. kanonika Gołąba:

„Ważne było dla obu stron (Trójprzymierza i Trójporozumienia) kto zasiądzie na stolicy piotrowej. Gdy zaś wszechwładny sekretarz stanu Leona XIII (kardynał) Mariano Rampolla del Tindaro, człowiek wielkiego wykształcenia, lecz pełen temperamentu, zdecydowanie popierał III Republikę Francji, na której czele stał premier rządu mason Waldeck-Rousseau, nie tajne były także jego rozmowy z Sazonowem, podówczas ambasadorem Rosji przy Kwirynale, który, jak mówiono, zapowiadał, że w razie zwycięstwa dwuprzymierza (Rosja-Francja) nie będzie miał nic przeciwko wskrzeszeniu państwa kościelnego, ogólnie uważano go za głównego kandydata do tiary. Nic więc dziwnego, że trójprzymierze tę kandydaturę zwalczało, jak i skłoniło w końcu Austrię do postawienia veta.

Ministerstwo spraw zagranicznych austriackie z tą ewentualnością liczyło się od kilku lat. Gdy podeszły wiekiem kardynał Grusch, arcybiskup wiedeński, nie mógł wchodzić w rachubę, jak tajne akta ministerstwa wskazują, wyznaczony został jeden z kardynałów węgierskich, a po jego śmierci, za wpływem Polaka, będącego ministrem spraw zagranicznych, hr. Agenora Goluchowskiego, zwrócono uwagę na kardynała Jana Puzynę, biskupa krakowskiego, którego łączyły przyjazne i ścisłe stosunki z cesarzem austriackim Franciszkiem Józefem I.

Ponieważ interes polski pokrywał się w sprawie wyboru papieża z interesem trójprzymierza (?), kardynał Puzyna, kapłan wielkiego sumienia, lubo z ciężkim sercem wziął na siebie ten ciężar. Albowiem kardynał Rampolla zajmował niechętnie Polakom stanowisko, gdyż dał wzmówić sobie, że Polacy i ich nieprzejednane stanowisko, są główną przeszkodą do nawrócenia Rosji, Sazonow zapewniał, że na wypadek

zwycięstwa Rosji, ta nie będzie miała nic przeciwko przywróceniu państwa kościelnego.

Głównym agentem Rosji był w Rzymie Mons. Begigue. Znalaziono nawet augustianina Palmiiego, któremu ułatwiono podróż do Rosji, a ten napisał oszczercze dzieło: „La Chiesa Russa”, w którym przedstawił myśl Sazonowa a jako główną przeszkodę w nawróceniu Rosji, uważał Polaków. Na którą to książkę dał odpowiedź w swej książce O. Molch T.J., ze spolszczonej rodziny kurlandzkiej, znający doskonale stosunki i prześladowanie Kościoła w Rosji.

Ks. Biskup krakowski był nieoficjalnym internuncjuszem dla Kościoła Katolickiego w Rosji. Przez jego ręce przechodziły akta, których nie mogła przesyłać wprost Stolica Apostolska do cesarstwa. Często miał sposobność przekonać się o mylnych rozstrzygnięciach i niekiedy stronniczych, krzywdzących Kościół w Polsce, nawet niesprawiedliwych.

Wielką szkodę wyrządziła za daleko posunięta polityka ustępstw wobec prawosławia, a jej twórcą był kardynał Rampolla, rządzący Kościołem z powodu podeszłego wieku papieża...

W ustępstwach dla III republiki francuskiej poszedł kardynał Rampolla tak daleko, że na stolicach biskupich we Francji kilka biskupstw było nieobsadzonych, a kilka biskupów masonów.

Najpoważniejszym przeciwnikiem (Rampolli) był kardynał Sapolli, niegdyś sławny profesor dogmatyki i on w czasie conclave był przywódcą opozycji.

Otwarcie conclave wyznaczono na dzień 31 lipca 1903 r. Opinia publiczna przewidywała, że wybranym będzie kardynał Rampolla albo kardynał Gotti, popierany przez Niemcy, karmelita bosy. Pierwszy zwolennik Francji, drugi jak mówiono, Niemiec. Rzecz ciekawa, że najbardziej wrogi Kościołowi dzienniki potępiły kardynała (Puzynę) tak, że opinia publiczna w Polsce nie orientowała się, że kardynał Puzyna zrobił ze siebie ofiarę dla narodu polskiego⁴.

Niemniej jednak kardynał Puzyna miał zwolenników, którzy po jego śmierci przystąpili do zgodnego ataku skierowanego przeciw ks. Sapieże. Należał do nich biskup sufragan krakowski Nowak, duchobiskup Bilczewski i ks. Komar, ojciec duchowny seminarium duchownego w Krakowie. Nie jest, sądząc, wykluczone, że podkreślenie znaczenia Puzyny użyte zostało jako środek do wyrażenia swego niezadowolenia z nominacji Sapiehy. Ingres nowego biskupa w lutym 1912 roku nastąpił pierwszej okazji do zdemontowania swego krytycyzmu. Biskup Nowak zabierając w katedrze wawelskiej głos, by w imieniu kleru krakowskiej diecezji powitać nowego ordynariusza, wygłosił ponoć panegiryk na cześć zmarłego Puzyny. Przy obiedzie tegoż dnia arcybiskup Bilczewski odezwał się w podobny sposób. Krótco potem ukazała się monografia kardynała Puzyny pióra księdza Komara, w tonie przesadnych pochwał ujęta. Sapieha udzielił jej swego „Imprimatur” na słowo kogoś ze swoich podwładnych, po czym podobno tego żałował. Postawa społeczeństwa krakowskiego w stosunku do nowego Księcia-Biskupa była wyczekująca i pewnym krytycyzmem zapra-

⁴ Z rękopisu pt. „Moje wspomnienia o papieżu św. Piusie X”. Ks. kan. dr Julian Gołąb był proboszczem parafii św. Mikołaja w Krakowie.

wiona. Jak to określił jeden ze świadków tych wydarzeń w rozmowie ze mną: „To co później podziwiano w kardynale Sapieże, mianowicie brak zupełny ostentacji, pompy i stania na koturnach oraz nie silenie się na szumne frazesy w dość rzadkich przemówieniach publicznych, to krytykowano podówczas uważając, że brak mu powagi”. (Ks. kanonik Bystrzonowski). Tak wyglądały kulisy nominacji mego Wuja na podwawelską ksiączęco-biskupią stolicę!

Rok 1914-ty położył kres tym bardzo ludzkim, a trochę przyziemnym i krótkowzrocznym odruchom. W nieszczęściu i dramatach wojny oraz z niej wynikłych zagadnień Sapieha zdobywa tak „biskupie” jak i rycerskie ostrogi, a małomiasteczkowe niezadowolone milkną raz na zawsze. — Z kronikarskiego obowiązku podaję jeszcze, zamykając tą uwagą opis okoliczności, w jakich Wuj Adam obejmował rządy w Krakowie, że jednym kontrkandydatem na to stanowisko był też ponoć kanonik kapituły ołomunieckiej Potulicki. Sądząc z tego, co mi mówiono, to kandydaturę tę popierał tylko on sam! Kapituła w Ołomuńcu nie miała dobrej opinii w kraju. Było wiadomym, że kanonie są lukratywne, a cały nastrój wiernopoddanych w znaczeniu ówczesnym, a więc „szwarcgelbowski”.

Już 25 grudnia 1914 roku ukazała się odezwa Wuja Adama, wzywająca do organizowania pomocy dla ludności wojną dotkniętej. Akcja ta nosiła od pierwszej chwili charakter szerszy, ogólnokatolicki. Odezwa ukazała się w prasie europejskiej, a w pierwszej linii w organie kurii rzymskiej „Osservatore Romano”. W Krakowie zawiązany został „Krakowski Biskupi Komitet dla dotkniętych klęską wojny”, który pod skrótem K.B.K. przechodzi do historii. Jego odpowiednikiem niejako na terenie Szwajcarii staje się „Comité Général de Secours pour les victimes de la guerre en Pologne” z siedzibą w Vevey, na czele którego staje Sienkiewicz, Paderewski i Antoni Osuchowski. Zakresem pracy Komitetu, zawiązanego w Krakowie, miała być „działalność humanitarna oraz gospodarcza, która by była dziełem publicznego miłosierdzia”. W tym celu zostały utworzone: sekcja sanitarna, opieki nad dziećmi, pomocy doraźnej, aprowizacyjna, odzieżowa, opieki nad uchodźcami, opieki nad żołnierzem Polakiem i nad jeńcami, informacyjna i porad prawnych. Za miarę jego pracy może służyć fakt, że komitet szwajcarski przekazał do dyspozycji K.B.K. w ciągu pierwszych trzech lat działalności przeszło 5 milionów koron, z Ameryki przesłano 30 tysięcy dolarów, a składki zagraniczne kościelne, zebrane na skutek wezwania papieża Benedykta XV wynosiły do końca 1915 roku blisko cztery miliony franków szwajcarskich. W Zakopanem powstało sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę, przekazane później Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, a do dziś dnia nazywane potocznie „sanatorium K.B.K.”, zaś w Witkowicach pod

Krakowem zakład leczniczy dla dzieci chorych na jaglicę. — Profesor Emil Godlewski, jeden z najczynniejszych współpracowników Komitetu krakowskiego czyni bardzo znamienne uwagi o wpływie Wuja Adama na tok prac w tym czasie podejmowanych: „Jak zwykle w czasie terroru i wszelkiego rodzaju dyktatur, tak i w tamtych czasach spotykało się mnóstwo ludzi, którzy ciągle czegoś albo kogoś się bali. Przez cały okres działalności Komitetu patrząc na działalność naszego Przewodniczącego mieliśmy podniesione wrażenie, że wówczas On nigdy i nikogo się nie bał, a zawsze chodziło Mu o dobro Instytucji, którą kierował i ludzi, dla których pracował”⁵. Uwaga powyższa, zawierająca znamienity rys charakteru Wuja Adama tak szczególnie typowy, da się zastosować do każdej chwili jego życia, zwłaszcza do tych tak licznych wypadków, gdy okoliczności wymagały od Niego nieustraszonej i nieugiętej postawy moralnej. Przeżyć i prób tego rodzaju nie szczędziły mu losy. — Po zakończeniu wojny w 1918-tym roku K.B.K. przeistoczył się na „Arcybiskupi Komitet Ratunkowy” i pod tą nazwą działał dalej.

Stanowisko Wuja Adama w okresie pierwszej wojny światowej w dziedzinie spraw politycznych można określić jako oględnie wycofujące. Widocznie był sobie postawił jako zasadę nie angażowanie się w żadnym kierunku i zachowanie postawy niezależnej, kładł natomiast główny nacisk na działalność charytatywną. Ówczesnego aktywizmu politycznego u boku Austrii, którego widowym niejako symbolem stał się Naczelny Komitet Narodowy (N.K.N.) nie uznawał, a zapatrywań kierujących tą polityką nie podzielał. Brak wiary w Austrię i ufności w jej przyszłość polityczną pod berłem Habsburgów, znalazły pełne uzasadnienie w rozwoju wypadków wojennych, a pokój w Brześciu przez Czernina w imieniu cesarza Karola podpisany był dowodem, jak mało można było polegać na zapewnieniach wiedeńskich mężów stanu. To samo tyczy i słusznej, jak się okazać miało, oceny ciężaru gątkowego Piłsudskiego i jego popleczników w zakresie zagadnień wewnątrzpolitycznych. Można więc dziś powiedzieć bez przesady, że instynkt Wuja Adama okazał się na dłuższą metę trafny, a przewidywania słuszne. Umiłowanie prawdy, wstręt do wszelkiej blagi, obłudny i przesady, zupełny brak próżności i tak zwanych osobistych ambicji, oto przymioty, które niewątpliwie musiały się przyczyniać do trafnego wyczuwania sytuacji i oceniania ludzi. „Sapieha umiał milczeć, nie wywnętrzał się, był w ogóle ostrożny wobec ludzi, posiadając przy tym dar ich znajomości, a przede wszystkim umiał w przeprowadzaniu spraw — nie wysuwając się

⁵ Dwadzieścia pięć lat pasterzowania Księcia Metropolity Adama Stefana Sapiehy. Jubileuszowa Księga pamiątkowa. Red. ks. F. Machay, Kraków 1937.

nigdy na czoło — chować siebie w cień” — tak pisze o Nim wielki Jego przyjaciel i zwolennik arcybiskup Teodorowicz ⁶.

W tym czasie wymagało to dużego zdecydowania i nie byle jakiej cywilnej odwagi, aby zająć stanowisko niezależne od wiejących podówczas wiatrów. Ludziom zgrupowanym w N.K.N. postawa Wuja Adama była niewątpliwie solą w oku. Wymownym tego dowodem są chociażby pamiętniki dra Jana Hupki ⁷, członka N.K.N. Pisze on o ówczesnym Księciu biskupie z wyraźną niechęcią, wypominając Mu daleko posuniętą rezerwę. Między innymi osoba biskupa Bandurskiego przyczyniła się do wielu nieporozumień. W przeciwieństwie do reszty episkopatu tak w Galicji, jak i w okupowanej od pierwszych tygodni wojny części Królestwa, który podobnie jak i Wuj Adam do ówczesnych zagadnień politycznych się odnosił, sufragan lwowski biskup Bandurski rozpoczął wyraźną aktywność na rzecz N.K.N. i legionów. Czynił to zresztą z możliwym brakiem taktu i umiaru, narażając się innym biskupom-ordynariuszom, na terenie diecezji, w których samorzutnie występował. Osoba jego została oczywiście wykorzystana dla celów politycznych tak przez władze austriackie, jak i przez grupę aktywistów N.K.N. Nazywano go przyszłym prymasem Polski i tytułowano biskupem polowym legionów polskich, do czego nie miał najmniejszego uprawnienia. Nie obyło się oczywiście bez prób wygrywania biskupa Bandurskiego przeciwko innym biskupom, jak również i dążenia do rozbitcia solidarności całego episkopatu. Do tej drugiej kategorii posunąć „taktycznych” zaliczyć trzeba zamiar sprowadzenia wiekowego biskupa Pelczara z Przemyśla na zjazd N.K.N. i posłów do parlamentu oraz członków Izby Panów z Wiednia do Krakowa, co udaremnił, jak się zdaje, Wuj Adam wraz z arcybiskupem Teodorowiczem. Dr Hupka pisze na ten temat w swych wspomnieniach co następuje:

„Dziś wieczór dowiedziałem się od Bilińskiego ciekawej rzeczy. Oto ks. biskup przemyski Pelczar zgłosił się do Bilińskiego z tem, że chce wziąć udział w jutrzejszym zgromadzeniu posłów, że chce przemówić i pobłogosławić zebraniu. Biliński z radością się na to zgodził i oświadczył, że udzieli księdzu biskupowi głosu przed porządkiem dziennym. Tymczasem przed wieczorem otrzymał Biliński od ks. biskupa Pelczara list, że po porozumieniu z ks. biskupem Sapiehą i arcybiskupem Teodorowiczem postanowił na zebraniu nie być i zaraz wraca do Przemyśla. — Pokazało się, że Sapieha i Teodorowicz potrafili starszka sterroryzować, odwieźć go na kolej, a arcybiskup Teodorowicz odwiózł go do Przemyśla. Biliński był wieczór u ks. biskupa Sapiehy i tłumaczył mu, że to nie jest dobrze dla Kościoła odzwyczajając Polaków w najważniejszych dla nich momentach od udziału episkopatu i duchowień-

⁶ *Dwadzieścia pięć lat pasterzowania...*

⁷ J. Hupka, *Z czasów wielkiej wojny. Pamiętnik nie kombatanta*. Wyd. 2 przejr. i uzupełn., Lwów 1937.

stwa. Ale Sapieha był nieprzejeźdny. Odmówił nawet w dzień zjazdu nabożeństwa na Wawelu”.

Zaś pod datą 2 stycznia 1916 roku pisze tenże autor:

„Zaostrza się walka Sapiehów — Ks. Biskupa i Pawła jego brata, na on czas prezesa Czerwonego Krzyża, przeciw N.K.N. i legionom. Przed wilią legionistów udała się moja żona z siostrą Niedzielską do Ks. Biskupa Sapiehy, by go na wilię zaprosić. Nie sądziły, by przyszedł, ale chciały zrobić akt grzeczności. Ks. biskup przyjął je z początku uprzejmie, gdy jednak usłyszał z czem przychodzą, zgniewał się bardzo. Odmawiając stanowczo powiedział: „Chcecie budować socjalistyczną i żydowską Polskę — ja do tego ręki nie przyłożę”.

Hupka wysuwa poza tym w dalszej części swych pamiętników zarzut przeciwko Sapiezie i Teodorowiczowi, że protestowali na terenie głównego dowództwa austriackiego w Cieszynie przeciwko wyjazdom biskupa Bandurskiego na front celem odwiedzania legionowych formacji. Otóż arcybiskup Teodorowicz najkategoryczniej przeczy w wydawnictwie, o którym już powyżej wspominałem, temu zarzutowi. Pisze on na ten temat: „Takież oskarżanie drugiego biskupa przed austriacką władzą po prostu ubliżałoby nam samym, a przy tym obaj byliśmy zdania, że skoro legioniści mają zaufanie do któregoś z biskupów, to tylko może być wskazane, aby ten biskup im się udzielał”. Pamiętnik dra Hupki jest niewątpliwie echem myśli, żalów i pretensji pod adresem Księcia Biskupa Krakowskiego, które w danej chwili wypełniały umysły polityków w N.K.N. skupionych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Jego negatywne nastawienie do poczynań tej grupy było zdecydowane i mogło być niejednokrotnie wysoce dla jej zamiarów niewygodne. Zwalczając wpływy i znaczenie inicjatora akcji K.B.K. nie musiało być łatwym zadaniem. Toteż Hupka pisze z wyraźną niechęcią o Wuju Adamie. Niemniej jednak niejedne jego wywody i opowiadania oraz refleksje tego inteligentnego, jak widać, człowieka, przyczynić się raczej mogą do wykazania słusznego poglądu Wuja Adama i jego trafnej oceny sytuacji, a nie do obciążających Go zarzutów i wypominań. Wiele uwag Hupki na temat Austriaków i ich poczynań, nieudolności, nieszczerości, a nawet wręcz głupoty, dobitnie wskazuje na słusność zastrzeżeń Wuja. Odnosi się wrażenie, że autor wspomnień stawia raczej pod pręgierz siebie i swoich politycznych przyjaciół, a nie biskupa Sapiehę, przeciwko któremu stara się stwarzać poniekąd nastrój. Podobna uwaga nasuwa się przy czytaniu uwag autora wspomnień pod adresem socjalistów a nawet samego Piłsudskiego wypowiedianych, chociaż stawia on go zasadniczo na bardzo wysokim piedestale.

Arcybiskup Teodorowicz, którego opinie, zgodnie z zasadą

„audiatur et altera pars”, cytuję poniżej, wypowiada się na tle ówczesnych wypadków w znamienity sposób o właściwościach charakteru Wujka Adama, które tak wyraźnie się naówczas zarysowywały: „Wielką niezawisłość sądu i opinii okazał Książę Metropolita i w tym, że nie dał się zawładnąć żadnej politycznej partii. A nie było to rzeczą łatwą uniknąć potężnych wpływów zwłaszcza tej partii, która stanowiła środowisko duchowe i polityczne Krakowa. Na pociągnięciu Ks. Metropolity ku sobie, już z natury rzeczy bardzo zależeć jej musiało. Rozporządzała potężnymi wpływami nie tylko przed wojną, gdy miała rządy kraju w swym ręku, ale i w czasie wojny liczyła w swym gronie ludzi wybitnych. Wspierała się nadto o autorytet tradycji, niejednym węzłem z życiem kościelnym spojonej. A jednak Ks. Metropolita uznając w ludziach, co było uznania godne, przez tyle lat zachował zupełną niezależność od wszelkich sugestii, które w jakimkolwiek kierunku czy formie były jego przewodnim myśłem i wytycznym kierunkom albo obce, albo nawet z nimi sprzeczne. Gdy było tego potrzeba wówczas, nie oglądając się na żadne względy, przeciwstawiał się Ks. Metropolita wezwaniom i żądaniom kategorycznie i nieodwołalnie”. — Uwagi powyższe stosują się szczególnie dobrze do sytuacji z lat pierwszej wojny i roli odgrywanej wówczas przez wszechpotężnych w danej chwili konserwatystów krakowskich na terenie N.K.N. — Widzimy więc zaznaczając się wyraźnie w naturze Wujka Adama ogromną niezależność opinii, odwagę cywilną i śmiałość w wypowiedziach, może chwilami aż zbyt daleko posuniętą. Te rysy charakteru pozostały Mu właściwe przez całe jego długie życie. One sprawiły, że w pewnych okresach był przedmiotem niezadowolenia i krytyki nieraz bardzo gwałtownej, które z biegiem czasu załamywały się i ustępowały miejsca ogólnemu uznaniu dla Jego niezłomnego charakteru i niezachwianych przekonań.

Pierwsze lata niepodległości przyniosły ze sobą nową serię zagadnień, których ciężar zaważył oczywiście i na życiu Wujka Adama. Już w jesieni 1920 roku skierował ówczesny premier rady ministrów Witos prośbę do kardynała Dalbora, Prymasa Polski, o wysłanie do Rzymu delegacji episkopatu w składzie arcybiskupa Teodorowicza i Księcia Biskupa Krakowskiego w sprawach, jakie się wyłoniły w związku z przygotowującym się plebiscytem na Górnym Śląsku. Kardynał Bertram, ordynariusz diecezji wrocławskiej, obejmującej cały teren plebiscytowy, był bowiem wydał podwładnemu mu duchowieństwu zakaz brania udziału w agitacji przedplebiscytowej. Zadaniem emisariuszy episkopatu polskiego miało być uzyskanie anulacji tego zarządzenia i otrzymanie zgody papieża Benedykta XV na udział duchownych w zebraniach, wiecach itd. — Misja obu polskich biskupów od-

niosła dobry skutek: Papież złożył na ich ręce pozwolenie dla księży uczestniczenia w akcji plebiscytowej. — Do tej wskazówki Ojca świętego nie zastosował się w pełni delegat papieski na Górnym Śląsku ks. Ogno. Zmienił on okólnik kardynała Bertrama jedynie o tyle, że pozwolił wprawdzie księżom na udział w zebraniach agitacyjnych, lecz bez prawa zabierania głosu, a więc w roli biernych widzów.

Jaką rolę odegrał w tych sprawach ówczesny nuncjusz w Warszawie, a późniejszy papież Pius XI, Ratti, nie jest łatwym do ustalenia na zasadzie li tylko wspomnień i fragmentarycznych informacji, zbieranych przygodnie. Nuncjusz Ratti był mianowany przez Watykan tzw. Komisarzem Stolicy św. do spraw plebiscytowych i jako taki bywał oczywiście w Opolu, gdzie znajdowała się siedziba komisji plebiscytowej, jak również u kardynała Bertrama we Wrocławiu. W polskich środowiskach zajętych wówczas akcją plebiscytową, nie cieszył się sympatią ani zaufaniem. Zarzucano mu stronniczość i proniemieckie nastawienie. Stał on istotnie niewątpliwie na stanowisku formalnym, to znaczy przestrzegania „czystości” działalności plebiscytowej, jak również szanowania praw wrocławskiej hierarchii diecezjalnej. Ten punkt widzenia, jakkolwiek zrozumiały, musiał wywołać po polskiej stronie zastrzeżenia. Nasza opinia uważała całą koncepcję odbycia na Górnym Śląsku głosowania co do przynależności do Polski czy też Niemiec za daleko idącą koncesją dla strony niemieckiej. Poza tym nietrudno było zdać sobie sprawę, że postawa kleru narodowości niemieckiej na terenie plebiscytowym będzie daleka od neutralności. Uważano więc za słuszne, by księża narodowości polskiej posiadali swobodę ruchów i możliwość aktywnego odnoszenia się do tego zagadnienia. Kuria wrocławska nie mogła w naszym pojęciu również dawać jakiegokolwiek rękojmi bezstronności. Wspomnienia kardynała Koppa były jeszcze zbyt świeże, aby mogły być zapomniane. — Punkt widzenia „katolicki”, a więc nadrzędny, którym posługiwała się chętnie strona niemiecka (np. książka Fryderyka Iam'a o Piusie XI), nie mógł nam trafiać do przekonania, ani być uważany za szczerzy, skoro było wiadomym, do jakiego stopnia niemieckie sfery kościelne nadużywały zawsze swych wpływów dla celów politycznych, z interesem Kościoła Rzymskiego bynajmniej nie identycznych. — Rola nuncjusza Ratti'ego była w tej sytuacji nielatwa! — Jednym z głównych opozycjonistów wśród kleru na Śląsku polskiej narodowości przeciwko osobie nuncjusza był ponoć ks. Kubina, późniejszy biskup częstochowski. Mówiono później, że swoją nominację na tamtejszego ordynariusza zawdzięczał ks. Kubina właśnie swej ówczesnej frondzie przeciwko nuncjuszowi, który zostawszy później papieżem w ten właśnie sposób pragnął zazna-

czyć i swoją zupełną bezstronność, i obiektywność w dokonywaniu wyboru nowego biskupa.

Jaką rolę odegrał w tej rozgrywce Wuj Adam Sapieha nie jest łatwym do stwierdzenia. Mówił niechętnie o swym do Piusa XI stosunku, którego pewna „chropowatość” z ówczesnych, zdaje się, datowała czasów. Dalszego jeszcze zaognienia doznał on w kilka lat później, kiedy przeprowadzano prace przygotowawcze do konkordatu pomiędzy Stolicą Świętą a rządem R.P., zawartego w 1925 roku. W komisji ze strony hierarchii kościelnej zasiadał również Książe Biskup Krakowski. — O konkordacie wyrażał się Wuj Adam nieraz bardzo krytycznie, uważając, że prawa Kościoła nie były dostatecznie zastrzeżone, zwłaszcza, o ile mnie pamięć nie myli, w dziedzinie oświaty i wpływów na szkolnictwo. Ponieważ ówczesny papież mógł się uważać poniekąd za specjalistę w sprawach polskich, a odznaczał się poza tym autorytatywnym usposobieniem, więc nietrudno się domyślić, że do tarć dojść mogło. Niewątpliwym dowodem napięcia tych stosunków było pomijanie w ciągu całego pontyfikatu Piusa XI Wuja Adama przy nominacjach kardynalskich. — Istniała wprawdzie jeszcze i inna po temu przyczyna, o której wspominam już na tym miejscu, ubiegając niejako wypadki. Była to opozycja naszego rządu ówczesnego przeciwko powołaniu do św. Kolegium metropolity obrządku grecko-katolickiego Andrzeja Szeptyckiego. Ponieważ Kuria Rzymska nie chciała ze swej strony ustąpić z kolejności nominacji, więc Wuj Adam był skazany na czekanie aż do chwili śmierci Szeptyckiego. — Znalazłem na ten temat w czasie okupacji dość znamiennej publikację, której urywek poniżej umieszczam:

„Skoro przed wojną (1939) rząd (polski) tak długo i tak małostkowo sprzeciwiał się jednemu (nominacji Szeptyckiego) nie mógł i Kraków otrzymać purpury. Przyszła, gdy tego dziwnego rządu nie stało, gdy nadeszła burza dziejowa, w czasie której naród okazał się lepszym od swego rządu. A z narodem i za naród stał Adam Stefan Sapieha” (Wacław Zbyszewski).

Mimo wspomnień nie we wszystkim miłych, jakie łączyły Wuję z osobą kardynała Bertrama, wyrażał się o nim później z wielkim uznaniem podziwiając odwagę i zdecydowanie, z jakim tenże bronił się przeciwko agresywności narodowo-socjalistycznej.

Z okresu międzywojennego warto jeszcze wspomnieć o niezwykłym i wręcz groteskowym w swych objawach, z histerią zbiorową graniczącym, tak zwanym „incydencie wawelskim” z 1937 roku bodaj. Trudno o tym milczeć, pisząc wspomnienia z ostatnich przedwojennych lat, chociaż wolałoby się, aby pamięć o nim zagięła, gdyż nie przynosi ona zaszczytu jego inicjatorom, a rzuca

dramatyczne światło na naszą niedojrzałość polityczną w przeddzień nowej próby, na jaką naród nasz miał być wystawiony. Aby odtworzyć tło tej sprawy i atmosferę jej towarzyszącą, musimy się cofnąć jednakże o kilka lat w tył, mianowicie do roku 1933, kiedy obchodzono w Krakowie święto kawalerii polskiej, w 350 rocznicę wyprawy króla Jana Sobieskiego pod Wiedeń. Zgromadzono wówczas znaczną część pułków jazdy na krakowskich Błoniach, gdzie marszałek Piłsudski odebrał ich defiladę. Udał się on potem na Wawel, do grobów królewskich z tak zwanym „raportem” przed sarkofag Jana III, gdzie złożył wieniec od jazdy polskiej. Otóż ta uroczystość w podziemiach wawelskiej katedry była na kilka dni wcześniej powodem do pewnego zaognienia stosunków między ówczesnym Metropolity Krakowskim a wojskowymi władzami w Warszawie. Zamiar złożenia wienca i oddania hołdu Janowi III w tak uroczysty sposób przez najwyższe władze wojskowe nie został ponoć notyfikowany we właściwej formie Księciu Metropolicie Sapieże, który stał bardzo zdecydowanie na stanowisku, że on jest jedynym gospodarzem na terenie Wawelskiej katedry i że tylko jemu przysługuje prawo zezwolenia na tego rodzaju obchód i zapraszania na wzięcie w nim udziału. Należy przypuszczać, że chodziło Metropolicie o niedopuszczenie do stworzenia precedensu, iż bez jego zgody i współudziału może ktoś na terenie katedry wydawać rozporządzenia jakiegokolwiek rodzaju. Czy Piłsudski względnie jego podwładni w Krakowie zaniedbali w ogóle uzgodnienia swoich zamiarów z tamtejszą władzą kościelną, czy też uczynili to w niewłaściwej formie, dość, że na tym tle powstał w danej chwili, w 1933 roku, konflikt, który został zażegnany osobiście przez Piłsudskiego już po jego przyjeździe do Krakowa. Udał się on do Księcia Metropolity i w rozmowie w cztery oczy sytuację załagodził. Tegoż dnia zostały rozesłane zaproszenia podpisane przez Księcia Metropolite do wzięcia udziału w uroczystości złożenia wienca na grobie króla Jana III przez Marszałka Polski. Zaproszenia te miały być ponoć doręczane w ostatniej chwili przed wyznaczonym terminem.

Nie jest mi wiadomo, czy w następnych latach przed wybuchem „incydentu wawelskiego” miała miejsce jeszcze jakakolwiek wymiana zdań między Księciem Metropolity Krakowskim a władzami centralnymi w Warszawie na zasadniczy temat: kto jest wyłącznym gospodarzem na terenie katedry i grobów królewskich? Złożenie zwłok Piłsudskiego w r. 1935 w krypcie św. Leonarda zostało w każdym razie przeprowadzone jak najbardziej zgodnie i uroczystie, a kondukt z dworca na Wawel prowadził osobiście Książe Metropolita. Umieszczenie trumny w tym właśnie miejscu miało charakter prowizoryczny, z uwagi na szczupłą przestrzeń. Z czyjej inicjatywy powstał projekt przygotowania

dla marszałka Piłsudskiego krypty pod wieżą Srebrnych Dzwonów z osobnym wejściem z zewnątrz do niej prowadzącym, tego powiedzieć nie potrafię. W każdym razie wiem wprost z ust Wuja Adama, że cały ten zamiar był uzgodniony i plany przygotowane oraz prace wykonane na długo przed incydem 1937 roku. Mówił mi on kilkakrotnie, że umieszczenie zwłok w krypcie św. Leonarda, do której jedyny dostęp wiódł przez wnętrze katedry, było na dłuższą metę niemożliwe z uwagi na niezmiernie liczne wycieczki zwożone z całego kraju, by składać wieńce na trumnie Marszałka. Skarżył się, że stwarza to w katedrze stały niepokój, że zaśmieszenie i zabrudzenie wejścia jest niedopuszczalne, że zdarza się pozostawianie pustych flaszek od wódki w kościele, a wypadki, iż „pielgrzymi” wchodzą w stanie nietrzeźwym, nie należą do rzadkości. Przeniesienie trumny do nowej krypty uważał więc Wuj za pilne i za konieczne. — Ówczesne sfery rządzące w naszym kraju starały się utrzymać wokół osoby Marszałka, nawet po jego śmierci, nastrój gorączkowy i napięcie graniczące z bałwochwalstwem. Chęć konserwacji zwłok w stanie pierwotnym była tego jednym z dowodów. Zmieniano mundur, uzupełniano balsamowanie, a działo się to wszystko ostatecznie na terenie kościoła. Metropolita miał więc wiele powodów do niepokoju i pewnej niecierpliwości, by ustawić zwłoki w nowej krypcie, posiadającej wejście od zewnątrz i tym samym — w pewnym przynajmniej stopniu — uwolnić wnętrze katedry od tak niezwykle i niewłaściwego stanu rzeczy. Prace przy nowej krypcie postępowały w międzyczasie naprzód, chociaż wiele czasu strawiono nad uzgadnianiem projektów. W lecie 1937 r. krypta pod wieżą Srebrnych Dzwonów była wykończona, kiedy z ramienia władz państwowych wysunięto nowe obiekcje i zamiary odnośnie jej urządzenia. Wuj Adam mi mówił, że obawiał się wówczas pełnej zmiany poglądów czynników miarodajnych na tę sprawę i podejrzewał, iż istnieje chęć powrócenia raz jeszcze do tezy pozostawienia zwłok Marszałka przecież w krypcie św. Leonarda, która miała być w tym celu opróżniona ze stojących w niej innych sarkofagów. Twierdził, że wykończenie krypty Srebrnych Dzwonów było dokonane ogromnym nakładem kosztów, co jednakże bynajmniej nie powstrzymałoby sfer rządowych od nowych wydatków sum potrzebnych na dokonanie zmian u św. Leonarda. Kiedy w tej sytuacji do uzgodnienia terminu przeniesienia zwłok z Warszawy nie doszło, wydał Księżę Metropolita polecenie ustawienia trumny Marszałka w nowej krypcie we własnym zakresie, powiadamiając o decyzji telegraficznie wdowę po Marszałku, panią Piłsudską. Przeniesienie trumny zostało istotnie przeprowadzone przez czynniki kościelne. — Reakcja władz nie dała długo na siebie czekać. Premier Składkowski złożył na terenie Sejmu

oświadczenie, potępiające w najostrzejszej formie zarządzenie Metropolity. Prasa rządowa i przez władze inspirowana rozpoczęła nieprawdopodobną wprost co do formy i treści kampanię przeciwko niemu. W Warszawie zorganizowano pochód „protestacyjny” do Belwederu, w czasie którego spalono, o ile pamiętam, portret czy karykaturalną podobiznę Wuja Adama. Przed pałacem w Krakowie na ulicy Franciszkańskiej starano się zmontować demonstrację przeciwko Metropolicie, która dla braku demonstrantów jednakże ponoć najzupełniej zawiodła! Ustawiono tym niemniej posterunki policji, mające go chronić przed gniewem opinii. Zarzucano samowolność w postępowaniu wobec osoby zmarłego, brak poszanowania dla uczuć narodu, rodziny itp. — Tymczasem nikt właściwie nie wiedział, o co chodzi, bo nikt tajników sytuacji nie znał. — Z całej tej sztucznie rozdmuchanej afery pozostała jedynie jako ślad i pamiątka dość zabawna karykatura, na której widnieje fasada pałacu biskupiego w Krakowie, pusta zupełnie ulica Franciszkańska i sylwetka Sieroszewskiego, jednego z czołowych instygatorów „demonstracji”, przybranego w mundur szwoleżera legionowego, tańczącego z radości na chodniku, a obok niego stojące dwie (!) leciwe, mocno zagniewane niewiasty, które grożą parasolami w kierunku okien pałacu! — Karykatura ta została w późniejszych czasach, kiedy nastąpiło uspokojenie umysłów, darowana Księżu Metropolicie ku wielkiej jego uciechu. — Epilog „incydentu wawelskiego” był mało skomplikowany: zwłoki Marszałka Piłsudskiego zostały w przeznaczony dla nich krypcie Srebrnych Dzwonów, a władze warszawskie po pewnym czasie zaniechały dalszego montowania opinii. Zrozumiano po niewczasie groteskowość i bezcelowość tych wybuchów niczym nieuzasadnionego niezadowolenia. — Kiedy Wuj Adam wspominał pod koniec życia te czasy, występował na jego twarzy ledwie dostrzegalny uśmiech pewnego rozbawienia!

Przystępując z kolei do spisania mych wspomnień o Wuju Adamie z czasów okupacji niemieckiej w Polsce, a więc objętych latami 1939 do 1945, doszedłem do przekonania, że jedyną dla mnie właściwą drogą postępowania musi być oparcie mych notatek o dane zaczerpnięte z jakiegos miarodajnego źródła, bliższego Wuja i Jego ówczesnych poczynań. Moje własne wiadomości dotyczące tych lat są zbyt niekompletne i fragmentaryczne, aby mogły wchodzić w rachubę przy redakcji tych wspomnień. Bywałem wówczas w Krakowie tylko dorywczo, a Wuja Adama widywałem rzadko i zawsze bardzo krótko. Odwiedzałem Go wprawdzie stale czy w Krakowie, czy też z okazji Jego pobytów w Warszawie, gdzie podówczas mieszkalem. Jednakże jak zwykle Wuj mało i niechętnie o sobie i swoich kłopotach mówił.

Publikacje, omawiające ten okres czasu, dotąd właściwie nie istnieją, z wyjątkiem opracowania ks. Bolesława Przybyszewskiego, ówczesnego notariusza Kurii Krakowskiej, a później jej kanclerza. Praca ta przeznaczona dla Rocznika Krakowskiego (T. XXXI) zawiera nad wyraz przejrzyste zestawienie dziejów tych lat, więc chociaż nie można jej nazwać wyczerpującą historią diecezji krakowskiej, a tym mniej Kościoła w całej Polsce pod okupacją niemiecką, niemniej jednak jest nad wyraz cennym i treściwym przyczynkiem do tych dziejów. — Oddając więc głos ks. Przybyszewskiemu, wyświadczę sobie i mym wspomnieniom o Wuju Adamie dużą przysługę, gdyż dzięki niemu wartość ich nabierze zgoła poważniejszego znaczenia.

Na końcu swej pracy, noszącej tytuł: „Dzieje kościelne Krakowa w czasie okupacji 1939 do 1945 r.” Autor umieszcza notatkę, zaznajamiającą nas ze źródłami, na jakich oparł swe wywody. Brzmi ona:

„Opracowanie powyższe zostało napisane na podstawie notatek J. E. Księcia Kardynała Sapiehy, aktów kurialnych, informacji członków Kurii z czasów okupacji niemieckiej, sprawozdań księży proboszczów i przełożonych zakonnych oraz wspomnień autora niniejszego opracowania, jako wikariusza parafii N. Salwatora w Krakowie, od roku 1942 notariusza Kurii Księżęco-Metropolitalnej.”

Okres okupacji jest dla oceny i zrozumienia indywidualności mego Wuja niezmiernie doniosłym. Wówczas to Jego charakter, wpływ na bliższe i dalsze otoczenie, stanowisko, jakie w kraju zajął i rola, jaką odegrał, nabierają szczególnej wyrazistości i niezwykłego ciężaru gatunkowego. Stałość jego przekonań, nieugiętość charakteru, cywilna odwaga i niezłomność całej Jego postawy moralnej wobec władz okupacyjnych doszły niejako do szczytowego punktu rozwoju i doskonałości. Jeżeli już nieraz poprzednio miał możliwość dowiedzieć, iż niczym ani przez nikogo zastraszyć się nie daje, to poczynając od 1939 roku czynił to prawie codziennie. A był to przecież już wówczas człowiek siedemdziesięciodwuletni, który na wiosnę 1939 roku czując widocznie pewne zmęczenie i wyczerpanie długim bądź co bądź życiem, nosił się z myślą ustąpienia z krakowskiej stolicy biskupiej i usunięcia się z szerszej areny działalności duszpasterskiej. Zamiaru tego zaniechał jednakże na skutek życzenia papieża Piusa XII, któremu z okazji pobytu w Rzymie z zamiaru tego się zwierzył. Bojowa jego natura, poczucie odpowiedzialności, gorące przywiązanie do kraju, wreszcie pełne docenianie swego posłannictwa, wszystkie te czynniki natury moralnej razem wzięte przyczyniły się niewątpliwie do wzniesienia się tego człowieka na rzadko spotykane wyżyny hartu duchowego i bohaterstwa, na których do końca dni swoich trwać będzie.

Książę Przybyszewski tak przedstawia postać mego Wuja na wstępie rozdziału noszącego tytuł „Duchowieństwo”:

„Książę Metropolita Adam Stefan Sapieha był w latach okupacji niemieckiej najwybitniejszą postacią nie tylko wśród episkopatu, ale i świeckiego społeczeństwa polskiego. Niemcy wiedzieli o jego przedwojennych zasługach z doby pierwszej wojny światowej, o jego niezwykłej postawie za czasów sanacyjnych i o niezwykłym uznaniu, jakim cieszył się w całym społeczeństwie polskim, ale początkowo nie doceniali nadzwyczajnego autorytetu Metropolity wśród Polaków. Wobec przedłużającej się okupacji mieli jednak sposobność przekonać się o tym autorytecie i sami go nieraz uznawali.

Niemcy znali też gorącą wiarę Metropolity w zmartwychwstanie Polski. Ta wiara kierowała go zawsze na prostą drogę postępowania bez żadnych koniunkturalnych wahań. Sam Frank, który dnia 5 IV 1944 roku namawiał Metropolitę do współpracy z Niemcami, zaznaczył, iż wie, że jest Polakiem, myśli po polsku i dlatego nie dziwi go pogłoska, iż „Sapieha jest głową narodowej idei niepodległościowej”. Gestapo na ulicy Pomorskiej w Krakowie w czasie przesłuchiwań księży nierazdo naprowadzało badania na temat Księcia Metropolity, chcąc wydobyc szczegóły o jego działalności. Nieraz taka rozmowa kończyła się stwierdzeniem: „Das ist ein grosser Pole...” W momentach (rzadkich zresztą) zetknięcia się z Metropolitą, poznawali Niemcy jego wielkie poczucie godności narodowej Polaka i śmiałość w wypowiedaniu swych poglądów. Nawet różni urzędnicy Niemcy, którzy często bardzo nawiedzali Kurie Arcybiskupią, szukali zawsze celem porozumienia się kanclerza Metropolity ks. prałata Stefana Mazanka, czy też, po jego aresztowaniu, drugiego kanclerza ks. prałata St. Domasika, nie prosząc o audiencję u Metropolity.

Pomimo swojej bezkompromisowości wyzykiwał Metropolita znakomicie swój autorytet zarówno dla dobra Kościoła, jak społeczeństwa w szeregu interwencji i rozmów z przedstawicielami rządu G. G. — mówił Niemcom prawdę w oczy i często od nich otrzymywał przyrzeczenie „zbadania sprawy”, czy też „zmiany zarządzeń, o ile to będzie możliwe”. Bronił też odważnie Polaków przed zarzutami, stawianymi im przez urzędników rządu G. G., a zwłaszcza szefów bezpieczeństwa.

Jest rzeczą naturalną, że w tym wyjątkowym położeniu naszego narodu, oczy wszystkich zwracały się na Metropolitę i jego narodową działalność w kierunku ratowania i ochrony Polaków. Nie należy jednakże zapominać o jego stanowisku jako arcybiskupa, arcybiskupa archidiecezji krakowskiej i o tym, że mniej może znane ogółowi jego „quotidianum ministerium pastorale” w znacznym stopniu wypełniało jego czas i absorbowało siły.

Działalność Księcia Metropolity w czasie okupacji można podzielić na dwa działy, a nawet dwa czasokresy. Pierwszy to działalność czysto

kościelna, w obrębie archidiecezji i działalność patriotyczna, która nie przekraczała terenu archidiecezji. Jest ona szczególnie ważna od roku 1939 do połowy 1942 roku, podczas gdy w drugiej połowie okupacji działalność patriotyczno-narodowa wysuwa się na pierwszy plan...

Troska o miasto towarzyszyła zresztą działalności Metropolity od samego początku wojny w r. 1939. Mimo paniki, jaka ogarnęła ludność, Księżę Metropolita pozostał w Krakowie⁸, celem zapewnienia miastu opieki po ewakuacji zarządu miejskiego; objął przewodnictwo założonego 4. IX 1939 r. Obywatelskiego Komitetu Pomocy, na który ofiarował 100 000 złotych. Krakowianie wiedzieli, że ich Duszpasterz żywo interesował się wszystkim, co ze strony okupanta godziło w miasto, wiedzieli, jak w ciągu ciężkich lat okupacji podtrzymywał ludność na duchu.

Troskę o miasto i jego zabytki okazał Arcybiskup w 1944 roku, gdy front zbliżał się do Krakowa. Wraz z prezesem Rady Głównej Opiekuńczej (Ronikiem) i przewodniczącym „Beiratu” miejskiego zwrócił się dnia 2 VIII 1944 r. do dowódcy wojskowego w rejonie Krakowa z prośbą, by Kraków, jako miasto historycznych pamiątek i zabytków sztuki, został ogłoszony miastem otwartym, a przez to nie był narażony na ostrzeliwanie i bombardowanie przeciwnika. Na to generał-pułkownik Harpe dał odmowną odpowiedź, powołując się na fakt, że przeciwnik lekceważył sobie „wielkoduszne” ochranianie miejscowości bogatych w zabytki sztuki. Dlatego w zmaganiu się z „bolszewickimi hordami” nie może wydać miasta bez walki. Nie omieszkał jednak prosić Księcia Metropolity o użycie całego swego wpływu, by „ciemne elementy” nie wzniciły powstania, wtedy bowiem Kraków, jak uczy przykład Warszawy, byłby zniszczony bez litości.

Krakowianie nieraz okazywali manifestacyjnie swą wdzięczność i cześć Księżciu Metropolicie, np. gdy opuszczał on kościół Mariacki po uroczystej celebrze w większe święta kościelne; gotowano mu wtedy na ulicach owacje. Licznie wypełnili pobożni, kościół Mariacki na uroczystościach jubileuszu 50-lecia kapłaństwa, obchodzonych przez Księcia Metropolity 1 października 1943 roku. Toteż wzburzenie ogarnęło Kraków zarówno w r. 1941 na wieść o tym, że urząd mieszkaniowy ma zająć pałac arcybiskupi, jak też gdy w zimie 1943—1944 powtarzano pogłoskę o rzekomo zamierzonym aresztowaniu Metropolity.

W drugiej połowie 1942 roku podjął Księżę Metropolita akcję o charakterze publicznym występował bowiem w niej w imieniu całego narodu polskiego. Stanowi ona drugą część Jego działalności w czasie okupacji."

W tym miejscu pragnę umieścić dane zaczerpnięte z pracy ks. Przybyszewskiego dotyczące szczegółów spotkania Wuja Adama z gubernatorem Frankiem. Był to w danej chwili niezmiernie do-

⁸ Mój Wuj mówił mi, że kard. Hlond namawiał go do wspólnego wyjazdu z kraju, czemu się jednakże sprzeciwił (P. Ż.).



34. Konsekracja ks. biskupa Adama S. Sapiehy w kaplicy Sykstyńskiej w Rzymie, dn. 17 XII 1911 r. (w głębi na tronie konsekurator — papież Pius X)

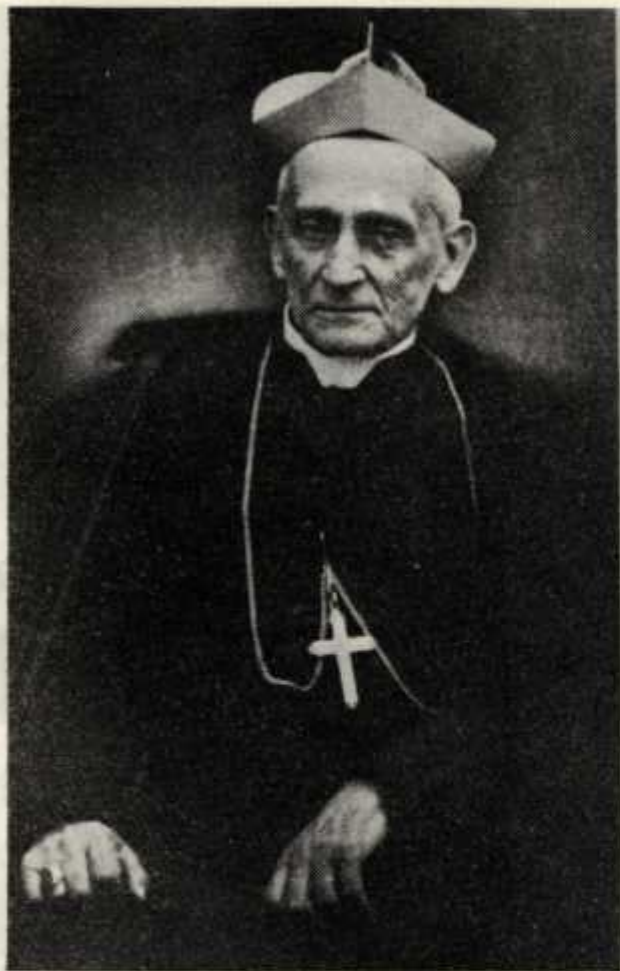
niosły epizod, wokół którego kursowały po całym kraju najróżniejsze, nie zawsze prawdziwe informacje:

„Wielkie znaczenie na polu współpracy z Kościołem przypisywał Frank osobistemu spotkaniu z Księciem Metropolita. Polecił przeto dyrektorowi Głównego Wydziału Zarządu Wewnętrznego w rządzie G. G. dr Siebertowi przygotować takie spotkanie. Po długich zachodach Sieberta umówiono datę spotkania Arcybiskupa z generalnym gubernatorem na Zamku (wawelskim) na dzień 23 kwietnia 1940 roku. Nie spodziewanie termin ten przyspieszono na 20 kwietnia tj. na dzień urodzin Hitlera. Arcybiskup, otrzymawszy w tej sprawie telefon od jednego z urzędników rządu G. G., odpowiedział, że dziękuje za pośrednictwo Siebertowi lecz chyba dōbrze on rozumie, iż 20 kwietnia u generalnego gubernatora zjawić się nie może. „Das wäre eine Manifestation, welche niemand von mir verlangen kann”. (Byłaby to z mej strony manifestacja, której nikt ode mnie wymagać nie może). „Czy mogę to oświadczyć Siebertowi?” — padło pytanie. — „Owszem, proszę”. — „Czy mógłby on prosić Księcia Arcybiskupa do telefonu?” — „Nie, bo zaraz wyjeżdżam na wizytację diecezji”.

Kiedy w jakiś czas później Metropolita oświadczył, że gotów jest rozmawiać z generalnym gubernatorem w sprawie ciężkiego losu ludności polskiej, zwłaszcza wobec mnożących się aresztowań i przymusowego wysyłania polskich robotników do Rzeszy, Frank odpowiedział przez swego sekretarza, że szukał sposobności do rozmowy w dniu 20 kwietnia, lecz obecnie nie widzi żadnych możliwości rozmowy, Arcybiskup może jednakże przedstawić swe życzenia szefowi S. S. i policji Krügerowi.

Stanowisko Metropolity w dniu 20 kwietnia 1940 roku było dla Niemców wskazówką, że Arcybiskup nie da się nigdy nakłonić do jakiegokolwiek z nimi współdziałania. Toteż przez następne trzy lata nie próbowali nawiązać porozumienia. Powrócili do tej koncepcji dopiero końcem r. 1943 wobec zarysowującej się klęski wojennej i zupełnej bezradności wobec powtarzających się zamachów na Niemców. Tym razem żądanie współpracy celem zapewnienia spokoju w kraju wysunął szef bezpieczeństwa Koppe na konferencji z dnia 17 grudnia 1943 roku a generalny gubernator szukał odtąd sposobności, by zaprosić do siebie Księcia Metropolitę.

Okazją do spotkania z Frankiem był list przysłany do tego ostatniego po zajęciu kościoła św. Szczepana przez Niemców 31 XII 1944. Już w dniu 4 IV Księżę Metropolita osobiście interweniował w tej sprawie u członka rządu G. G. Craushaara, który niewiele mówił o kościele, ale za to upominał się o wydanie odezwy potępiającej mordowanie Niemców, a następnie zawiadomił Metropolitę, że kardynał Hlōnd dzięki interwencji Franka został wypuszczony na wolność. (Kardynał Hlōnd bawił od samego początku wojny za granicą. Został aresztowany



35. Księżę Adam Stefan Sapieha, arcybiskup metropolita krakowski

przez władze niemieckie we Francji, po czym czas jakiś spędził w więzieniu). W końcu oznajmił, że generał-gubernator oczekuje Metropolitę nazajutrz o godzinie 11-tej na Zamku. Metropolita początkowo odmawiał podkreślając niesłychane traktowanie i prześladowanie Polaków, od napisów „Nur für Deutsche” w tramwajach począwszy, a na mordowaniu ich bez sądu skończywszy. Wreszcie na naleganie Craushaara, by jednak bezpośrednio przedstawił Frankowi położenie ludności polskiej, zdecydował się udać na Wawel.

W Wielką Środę 5 kwietnia 1944 r. udał się Metropolita na Wawel w towarzystwie ówczesnego kanclerza Kurii ks. prałata S. Domasika. Przyjęty został w bramie od kościoła O. O. Bernardynów przez Wildena, poczem wśród rozlicznych kordonów policji dostał się na pierwsze piętro Zamku królewskiego do apartamentów gen. gubernatora. Frank w otoczeniu podsekretarza stanu dr Boepple i prez. Craushaara przywitał go oświadczeniem, że po raz pierwszy go zaprosił (zapomniał widocznie, że miało to już miejsce w 1940 r.) i rozpoczął przemowę, która trwała prawie przez cały czas trzechkwadransowego spotkania. Tylko w przerwach mógł Księżę Metropolita mu odpowiadać. Główne myśli przemówienia Franka były następujące: gdy stosunki się tak ułożyły, że można myśleć o organizowaniu tego kraju w ramach nowej Europy, Polacy winni zająć w nim pod kierunkiem Niemców należne stanowisko. Na konferencji z Hitlerem doszli w tym do porozumienia. Dlatego oczekuje współpracy Kościoła i to tak w walce przeciw bolszewizmowi, jak i przeciw mordom, popełnianym na Niemcach. „Niemcy nie mogą ginać” — powtarzał namiętnie. Skarżył się, że Kościół tylko narzeka i oskarża Niemców, a nie bierze się do pracy pozytywnej dla tych celów. Polacy zawdzięczają (!) Niemcom wiele dobrodziejstw, jak obrona przed Rosją, wodociągi, drogi, szkoły, ochrona przed tyfusem plamistym. Nie Anglicy, ale Niemcy mogą pomóc Polakom, a tymczasem Polacy uważają Niemców za swych największych wrogów. Jeżeli chodzi o współpracę Kościoła, to wyobraża ją sobie jako list pasterski w tej sprawie. Z powodu szacunku dla Metropolity i jego siwych włosów nie chce żądać niczego, poddaje tylko myśli.

W przerwach przemówienia Franka Arcybiskup odpowiadał mu, że społeczeństwo przez lata wojny, a właściwie ucisku tak gwałtownego, jest przygnębione i trzeba najpierw leczyć rany zadane. Skarżył się na ograniczanie pracy kościelnej pod zarządem niemieckim: niemożność odwiedzania części diecezji w Rzeszy położonej, odseparowania polskich księży od robotników w Niemczech, zakaz przyjmowania nowych kandydatów do seminariów duchownych, brak szkół średnich dla młodzieży. W pewnej chwili powiedział Frank, że słyszał, iż Sapieha jest głową idei niepodległości narodowej. Na to Księżę Metropolita odpowiedział, iż słyszał inną pogłoskę, mianowicie, że generał-gubernator wraz z nuncjuszem złożyli mu wizytę, na której przyjęci zostali czarnym przydziałowym chlebem... Słowami „czekamy na to, by Niem-

cy pokazali, że nie są naszymi wrogami” — pożegnał Księżę Metropolita Franka”.

Przedstawwszy powyżej słowami ks. Przybyszewskiego przebieg spotkania z Frankiem i poprzedzające je rozgrywki, powracam obecnie do tej części jego pracy, w której jest opisana działalność ogólnokrajowa Wuja Adama w czasie okupacji.

„Początek jej zaznaczył się wysłaniem w dniu 2 listopada 1942 roku do generalnego gubernatora listu, w którym przedstawił Metropolita ucisk stosowany przez władze okupacyjne. Na pierwszym miejscu postawił „zbiorową odpowiedzialność”, stosowaną przez Niemców od samego początku. Wytknął Metropolita, że ta odpowiedzialność, polegająca na chwytanju na ślepo zakładników, rani samo poczucie prawa... Jako drugą niedolę ludności polskiej wymienił lapanie bez wyboru tysięcy ludzi na ulicach miast, drogach wiejskich, w lokalach publicznych itd., które pozbawia rodziców dzieci, a rodziny — żywicieli. Poruszył też masowe wysiedlenia Polaków z mieszkań w samym Krakowie, obejmujące dziesiątki tysięcy mieszkańców wyrzuconych na peryferie lub na wieś, często skazanych na bezdomny żywot. Łączy się z tym rozerwanie rodzin, finansowa ruina, strata całego w ciągu życia zebranego mienia, fizyczne i moralne udręki. Dalszą niedolą były tysiączne aresztowania bez rzeczywistych podstaw winy; jaki los czeka aresztowanych dowodzi niezliczona ilość telegramów, przychodzących z obozów koncentracyjnych z zawiadomieniem o śmierci ludzi przed aresztowaniem zdrowych, a do tego młodych, przeważnie bez żadnej winy zabranych. Do tych krzywd przyłącza się i wygłodzenie polskiej ludności przez tamowanie wolnego handlu, pobór kontyngentów. Zwraca na to uwagę, że katastrofa gospodarcza prowadzi do etycznej deprawacji. Mimo tej niedoli ludności polskiej rząd ogranicza polską działalność charytatywną, zmniejsza subwencje na R.G.O., zajmuje lokale przeznaczone na cele miłosierdzia. W końcu poruszył sprawę likwidacji Żydów i wskazał na ohydę używania do zabijania Żydów rozpijanej młodzieży z „Baudienst” np. w Tarnowie i Działoszycach.

Po otrzymaniu tego „Zadusznego listu” Księcia Metropolity rząd G. G. okazał chęć rozmowy z nim. Ponieważ Arcybiskup przyjął zaproszenie rządu, odbyła się w dniu 24 grudnia 1942 roku w gmachu Akademii Górniczej konferencja z Bühlerem, szefem rządu, w czasie której obecni byli Siebert, prezydent głównego Wydziału Zarządu Wewnętrznego, Schöngart, zastępca Krügera i Weinrauch, kierownik Wydziału Opieki Społecznej. Księciu Metropolicie towarzyszył prezes R.G.O. Ronikier. — Rozmowa toczyła się koło treści listu z dnia 2 XI. Szczególnie zajął się Księżę Metropolita sprawą zbiorowej odpowiedzialności, a jako przykład podał straszliwy obraz, który sam widział powieszonych za rzekome zamordowanie policjanta w Woli Duchackiej, co do których był

przekonany, że straceni byli bez winy, oraz aresztowanie przeszło 100 Polaków w kawiarni Plastyków. Wywiezieni do Oświęcimia giną tam prędko, przy czym charakterystyczną jest rzeczą, że na telegramach zawiadomieniem o śmierci powtarzają się daty 27 maja i 17 czerwca. Bühler udawał zdumionego i pytał swych urzędników, obecnych razem z nim, czy to prawda, czemu jednakże nikt nie zaprzeczył. — Drugim ważniejszym tematem rozmowy była sprawa R.G.O., wstrzymanie środków wyżywienia dzieci, zajmowanie żłobków dziecięcych, zabieranie lokali ochronek, usunięcie od N. Roku 1943 duchownych od udziału w pracach R.G.O. — Następnie mówił Księżę Metropolita jeszcze o aresztowaniach i zabieraniu dzieci ze szkół do pracy w Rzeszy.

Widowym skutkiem tej pierwszej wielkiej interwencji Księcia Metropolity było przyznanie dla R. G. O. większej subwencji, dopuszczenie księży do pracy w R. G. O., ale tylko w delegaturach z wykluczeniem komitetów. Jeżeli zaś chodzi o terror, to szalał on dalej.

Do drugiej wielkiej interwencji postanowił arcybiskup koło połowy r. 1943 posłużyć się orędziem całego episkopatu polskiego. Zaprosił przeto na dzień 8 czerwca 1943 r. biskupów z całego G.G. na konferencję do Krakowa. Przybyli na nią: ks. biskup T. Kubina, ordynariusz częstochowski, ks. biskup Barda ordynariusz przemyski, ks. biskup Jan Lorek, administrator apostolski sandomierski, ks. biskup Edward Komar, administrator apostolski tarnowski, ks. biskup Czesław Sokółowski, administrator apostolski siedlecki, ks. biskup Stanisław Rospond, sufragan krakowski, ks. biskup Eugeniusz Baziak, sufragan lwowski, ks. biskup Juliusz Bieniek, sufragan katowicki. Rządcy diecezji warszawskiej, kieleckiej i lubelskiej nadesłali swe upoważnienia do podpisania w ich imieniu orędzia. [Memoriał ten zawiera wyliczenie wszelkich bezpraw i bezceństw, jakich dopuszczały się władze okupacyjne w stosunku do ludności polskiej, więc kolektywna odpowiedzialność, łapanie na roboty, wysiedlania, brak opieki duszpasterskiej nad wysiedlonymi na roboty do Niemiec, których liczba doszła ponoć do jednego miliona].

Frank, który, jak twierdził, przeczytał memoriał biskupów „z najwyższym zainteresowaniem”, doniósł Księżu Metropolicie, że polecił swemu sekretarzowi (Bühlerowi) porozumieć się z nim celem rozważenia życzeń episkopatu. — Do zapowiedzianej konferencji nie doszło, widocznie zamiary rządu G.G. się zmieniły. Za to dochodziły do Krakowa przerażające wieści o straszliwych „pacyfikacjach”, tak na terenie diecezji krakowskiej jak i całych ziemiach polskich. Okrutna ta akcja nie oszczędziła i przedmieść krakowskich. [Autor opisuje w tym miejscu system zbiorowych, publicznych egzekucji oraz rozlepianie ogłoszeń straconych za „zamachy na dzieło odbudowy G.G.”].

Mimo, że przedstawienia memoriału biskupów polskich z dnia 8 czerwca 1943 roku nie były przez rząd G. G. wysłuchane, Księżę Metropolita wobec tego, że terror niemiecki przybrał niebывале dotych-

czas nasilenie i piekielną wprost formę, postanowił udać się do generalnego gubernatora z trzecią wielką interwencją. W liście, jaki wysłał 9 listopada 1943 roku z oburzeniem oskarżał rząd o nieludzką akcję „łapankową”, w której schwytni Polacy albo od razu za nieznane sobie czyny bywają straceni, albo wtrąceni do więzień są trzymani jako zakładnicy, by zostać rozstrzelanymi za niezawinięte przez nich zamachy. Potępił z mocą zasadę „solidarnej odpowiedzialności”, z powodu której skazuje się na śmierć ludzi nie mających żadnej nawet wiadomości o popełnionych zbrodniach i przypadkowo tylko aresztowanych. W końcu podkreślił, że postępowanie to obraża ogólne poczucie prawa, bo jest skazywaniem niewinnych za postęпки innych i nie prowadzi do celu, to jest do usunięcia napadów, owszem tym bardziej pobudza do akcji odwetowej.

Jak po każdej interwencji, tak i po tej Frank przysłał do Księcia Metropolity zaproszenie na konferencję. Doszła ona do skutku dnia 17 grudnia 1943 roku. Przewodniczył jej nowy szef bezpieczeństwa w rządzie G.G. S.S. Obergruppenführer Koppe w towarzystwie sekretarza stanu Bühlera. Księżu Metropolicie towarzyszył ks. prałat Domasik. Rozmowę rozpoczął osławiony kat narodu polskiego i patron krwawych plakatów Koppe, który — o dziwo — wyglądał z pozoru na człowieka kulturalnego i do Księcia Metropolity odnosił się z wielką uprzejmością. Wywodził, że do spokoju winien dążyć nie tylko rząd, ale i Kościół. Dotychczas nie widział podobnego kroku ze strony czynników kościelnych. Księżę Metropolita zauważył, że normalne warunki mogą zapanować, gdy nie będą miały miejsca wypadki terroru, jaki się szerzy. Każdy Polak jest w ciągłym niebezpieczeństwie czy wyrzucenia z mieszkania, czy pozbawienia majątku, czy aresztowania i śmierci. Rozpacz ogarnia ludzi, a w tym stanie spodziewać się muszą, że zmiana przyniesie coś lepszego. Co do kwestii wystąpienia episkopatu, Księżę Metropolita wyraził zdanie, że pierwszy krok winien być uczyniony przez tych, co mają władzę i siłę. Sprzeciwiał się temu Koppe, oświadczając, że władze mogą złagodzić kurs dopiero wtedy, gdy nastąpi uspokojenie; inaczej naraziłby swój prestiż. Swe twierdzenie popierał tym, że ponieważ od roku zaczęły się niepokoje, przeto jako konsekwencja nastąpiły represje. Temu czasokresowi prześladowań niemieckich, jaki postawił Koppe, Księżę Metropolita zaprzeczył, wykazując, że od początku okupacji niemieckiej miały miejsce gwałty na Polakach, jak aresztowania, począwszy od wywiezienia profesorów U. J., utworzenie obozów koncentracyjnych, gdzie wiele tysięcy ludzi już zginęło. Do krzywd narodu polskiego należy i to, że ludzie nie mają co jeść, ludność nie otrzymuje przydziałów na ubrania, wczesna zaś wieczorem godzina policyjna utrudnia Polakom załatwianie spraw. Bühler bronił stanowiska rządu tym, że Polacy mogą wszystko dostać w „pasku”.

Mimo interwencji Księcia Metropolity terror niemiecki się wzmacniał. Niemcy czuli, że tracą grunt pod nogami wobec silnej, szczegól-

nie od r. 1943 partyzantki i ustawicznych zamachów, nawet na samego Franka, jadącego pociągiem do Lwowa. Wpływ na tego ducha oporu przypisywali Kościołowi, temu „najpotężniejszemu ośrodkowi polskości”, według wyrażenia Franka. Generalny gubernator dał wyraz temu przekonaniu w przemówieniu z dnia 17 II 1944 roku, kiedy się skarżył na ciężką walkę Niemców z Kościołem. „Świątynie — mówił — zapewniają się coraz bardziej, a Kościół może, jak żmija, ukrywać swą wrogość w sposób sprytny i mądry”. Szukał Frank okazji, aby w sprawie współpracy Kościoła pomówić z samym Księciem Metropolita. Okazja ta nadarzyła się, gdy Arcybiskup dnia 27 marca 1944 roku zaniósł do generalnego gubernatora swoją czwartą narodową interwencję w sprawie mordów na Polakach, dokonywanych przez ukraińskie bandy UPA na wschodnich ziemiach. Dołączyła się do niej kilka dni później i lokalna interwencja w sprawie zabranego na magazyn kościoła św. Szczepana w Krakowie. W liście z dnia 27 marca przedstawił Arcybiskup mordczą akcję nacjonalistów ukraińskich, wskutek której 24 księży w archidiecezji lwowskiej straciło życie, 70 musiało uchościć, dziesiątki tysięcy polskich mieszkańców okrutnie zostało zamordowanych (np. w samym Podkamieniu i okolicznych wioskach 536 osób, a podobne masowe mordy miały miejsce w 25 miejscowościach), dwieście tysięcy ludzi wyemigrowało — i prosił w imię ludzkości i sprawiedliwości o zapobieżenie tym mordom. W czasie spotkania z Frankiem dnia 5 kwietnia 1944 roku (o czym była już mowa powyżej), po wysłuchaniu zaprosin do współpracy — w którą sam generalny gubernator, jak z niektórych oświadczeń dało się wywnioskować, nie wierzył — miał Księżę Metropolita sposobność powyższą interwencję niektórymi szczegółami uzupełnić.

Na skutek ustawicznych klęsk na froncie wschodnim przystąpili Niemcy w lipcu 1944 roku do ewakuacji Krakowa, przede wszystkim niemieckich kobiet i dzieci — zostali tylko uzbrojeni urzędnicy. Zatraskany o los licznych Polaków, zostających w więzieniach i obozach, Księżę Metropolita wniósł razem z prezesem R. G. O. prośbę do Franka (28 VII 1944 r.) o zwolnienie ze względu na wywołane położeniem na froncie stosunki z więźni i obozów znajdujących się tam osób. Zaraz na drugi dzień odpisał Frank, że nie ma żadnego urzędowego wpływu na zwolnienie osób zamkniętych w obozach koncentracyjnych — to należy do Himmlera — jeżeli chodzi o zamkniętych w tych więzieniach, które mu podlegają, powierzy załatwienie tej sprawy prezydentowi Wydziału Sprawiedliwości w rządzie G. G. Wille'mu. Zwolnień jednak nie zarządzono.

Skutki powyższych pięciu narodowych interwencji Księcia Metropolity były minimalne. Słusznie przeto mógł oświadczyć, zeznając jako świadek w procesie norymberskim dnia 7 listopada 1945 roku, że jego interwencje i konferencje w rządzie G. G. nie dały pozytywnego wyniku i nie wpłynęły na zmianę położenia ludności polskiej.

Prócz ogólnych interwencji ujmował się Księżę Metropolita w wielu poszczególnych wypadkach za skazanymi czy aresztowanymi, np. w sprawie 24 skazanych na śmierć w Radomiu (28 IV 1940), wykonania wyroku na położnicy, czy w sprawie innych ofiar terroru.

Nic więc dziwnego, że krakowianie z wielką radością dowiedzieli się z końcem grudnia 1945 roku o mianowaniu Księcia Metropolity, swego opiekuna z czasów okupacji niemieckiej — kardynałem. Entuzjastycznie witał Go lud krakowski, gdy po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego wrócił z Rzymu do swej metropolitalnej stolicy dnia 17 marca 1946. Specjalny komitet obywatelski wydał na dzień jego przybycia odezwę, wzywającą mieszkańców miasta Krakowa do wzięcia jak najliczniejszego udziału w Jego powitaniu. Odezwa ta najlepiej wyrażała uczucia społeczeństwa krakowskiego wobec swego arcybiskupa: „U grobu Księcia Apostołów obdarzony przez Jego następcę dostojnością purpury kardynalskiej, zawita znów J. E., Księżę Kardynał Sapieża do umiłowanego przez Siebie miasta Krakowa, w którego historii niezatartymi na wieki zgłoskami zapisała się Jego wieloletnia działalność. Dzięki niej stał się niedościgłym wzorem najtroskliwszego pasterza dusz ludzkich, najczulszego na nędzę i sieroctwo jałmużnika, najżarliwszego Syna Ojczyzny. W dobie zaś bezmiernego męczeństwa narodu, w ciągu krwawych lat niemieckiej okupacji, postać Jego stanęła ponad oceanem niedoli, niby symbol moralnej niezłomności polskiego ducha i narodowej godności, nieugiętej wobec szalejącej wściekłości wroga, i zapłonęła niby pochodnia nadziei, oświetlająca drogi do wyzwolenia i jasnej przyszłości Ojczyzny”.

Wspomnienia i uwagi ks. Przybyszewskiego nie wymagają ani uzupełnień ani komentarzy. Postać Wujka Adama wylania się z nich z całą wyrazistością, plastycznością i prostotą, z całą niespożytą energią, wytrwałością i odwagą, jakie Go cechowały, gdy czuł się w wirze walki i zmagania z przeważającymi na pozór siłami zła i bezprawia.

Przychodzi mi w tym miejscu na myśl trafna charakterystyka Jego osoby, którą znalazłem w jednej z licznych publikacji, jakie ukazały się po zgonie Wujka, bo wydaje mi się, że oddaje ona niezmiernie słusznie, w niewielu zresztą ujętą słowach, prawdę, wyjaśniającą i naświetlającą Jego zachowanie się w czasie okupacji oraz postawę, jaką zajął i do końca utrzymał wobec okupanta niemieckiego: „O Skardze można powiedzieć, że nie był wprawdzie filozofem, ale był czymś znacznie więcej, bo mędrcom. O kardynale Sapieże należałoby powiedzieć, że nie był geniuszem, ale za to czymś bez porównania większym i rzadszym: wielkim charakterem. Był niezwykle prawym, po bohatersku prawym człowiekiem. A są okresy, kiedy heroiczna prawda, nawet przy przeciętnym

umyśle, jest nieskończenie wyższą wartością od geniusza. Jest w niej bowiem czerstwe zdrowie uporczywego stałego wysiłku, górujące nad chwilowymi zrywami i porywami”.

ANEKSY

Z pamiętnika mej Babki, Jadwigi z Sanguszków Sapiieżyny, 10. X. 1909 r.

Wracam ze sumy w Katedrze (lwowskiej) odprawionej przez mojego drogiego Xiędza! Widok Jego przed tym pięknym ołtarzem rzęsiście oświetlonym, otoczony kilku księżmi w złocistych ornatach — u stóp Matki Boskiej tylu cudami wstawionej, tak zwanej Jana Kazimierza, a nade wszystko składającego ofiarę największą, najświętszą — wobec naszego ludu przecież jeszcze tak wierzącego — jakież to szczęście, jakie błogosławieństwo Boskie!

Chwila Podniesienia, kiedy widzę Najświętszą Hostię w Jego rękach przemienioną w Ciało Pana Jezusa! a potem ten Kielich z Krwią Jego Najświętszą — upada się na kolana nigdy dosyć pokornie, nigdy dosyć nisko — nigdy z dostatecznym uczuciem, jakie się należy od nas nędznych, niegodnych — ale radość serca matki w takich chwilach jest nie do opisanania, tylko Panu Bogu wiadoma. Niech Mu będzie cześć i chwala.

Kraków. Dnia 21. IV. 1912 r.

Do mojego Syna najdroższego Adasia,
dzisiaj Biskupa Krakowskiego.

Tak mnie błogo było dzisiaj być u Ciebie, pierwszy raz w Twoich pokojach, u Ciebie na obiedzie, chociaż to już prawie dwa miesiące jak jestem w Krakowie. Nie chcę tego dnia nie wpisać, abyś kiedyś, po mojej śmierci miał tę pociechę, żeś uszczęśliwił Twoją tak starą Matkę! Widzieć Ciebie, być u Ciebie, przypatrzeć się, jak Pan Bóg raczy w Miłosierdziu Swojem Ciebie błogosławić w tej najpiękniejszej ludzkiej robocie. Pasterz tylu ludzi — dziś właśnie Ewangelia o Dobrym Pasterzu. — Czytając ją, z jaką wdzięcznością Bogu nazsemu dziękuję, że tak liściście, miłosiernie działa nad Tobą, że Duch św. prowadzi każdy Twój krok, że myślą, słowami kieruje. Dziękujemy oddajmy się z ufnością Jego łasce i dobroci — Opiece Matki Boskiej. Te obawy, które mnie tak bardzo trapiły, i przykrości, trudności tak wielkie, które przewidywałam w naszych czasach, ustaly, bo Pan Bóg dał mi do poznania, że czuwa nad Tobą, że Ci błogosławi i strzec będzie i da siłę do znoszenia krzyżów, które Cię czekają, a zarazem oświecać będzie, dopomagać do wypełniania obowiązków tak wielkich — być pasterzem tylu ludzi, którzy z taką ufnością oczekują pomocy, rady od Ciebie, abyś wskazał im drogę. Myśleć o tym nie mogę bez wielkiego rozrzewnienia!

Najdroższy Jezusie, proszę Cię za Niego.

Duchu św., czuwać nad Nim, oświecaj!

A Ty, Matko najdobrotliwsza Nieustającej Pomocy

Bądź Jego Matką, módl się za Nim!

Boże drogi, Boże, liściście, Boże najświętszy, nie opuszczaj Go!

Napisane w 60 rocznicę ślubu naszego w Krakowie, 22 IV 1912 r.

List brata mego Adama *) do Wujca Adama Sapięhy z okazji jego konsekracji na biskupa Krakowskiego pisany w Krakowie 17 XII 1911 roku, a skierowany do Rzymu.

„Najdroższy Wujciu,

Żeby się rzeczy były ułożyły trochę inaczej, byłbym 17-go w Rzymie. — Żal mi bardzo, że tak być nie mogło, bo jeżeli mi pobyt Wujcia w Watykanie wyszedł lepiej niż ktokolwiek z rodziny, to bodaj tem bardziej należało mi się być z Nim w dniu, który tej służby jest zakończeniem i bądź co bądź też nagrodą. — Czekają Wujcia w tym nowym powołaniu próby i trudy rozliczne, ale na pewno i wielkie pociechy i radości głębokie. Roślina musi mieć korzenie, żeby się rozwinąć i kwitnąć, ani wątpię, że człowiek wtedy sercem ku Bogu rośnie najpotężniej, gdy najgłębiej wkorzeniony w podłoże społeczności, gdy najsilniej związany ze swoim krajem i narodem. Być duchową podporą i karmicielem innych, to już współżyć z Bogiem. Rzeczy Boskich w ludzkim świecie być istotnym symbolem i uwierzytelnionym przedstawicielem, to zawód olbrzymi, szczęście może największe jakiego może dostąpić śmiertelny. — Tym Szczęściem Wujcia najdroższego spotykającym współraduję się głęboko.

Czasy są złe i ciężkie. Ale wszystkie były takie dla tych, którzy z powagą patrzeli na losy świata, a na których choć cząstka odpowiedzialności za nie ciążyła. Powikłały się ścieżki, po których stapa ludzkość, tak że chwilami trudno doprawdy dostrzec wśród nich drogę Bożą. Ale Duch św. nie odstępował światu tak łatwo, jak świat Jego się wyrzeka. Przewodnictwo Opatrzności nad losami człowieczeństwa żadna rewolucja nie obali. W Bożej myśli jest światło na każdą godzinę historii, jak, każda chwila dziejów nowe głębie Najwyższej Mądrości objawia. I nie może być ono odmówione nikomu, kto jej szuka z czystym sercem w miłości ku Bogu, a z wielkim umiłowaniem braci porównano.

Wstępuje Wujcio na krakowską stolicę w roku, w którym Polska święci pamięć dwóch swoich synów, noszących wyraźnie piętno Opatrzności na czole: księdza Skargi i Zygmunta Krasińskiego. A zbratani oni czymś więcej, niż tym rokiem jubileuszowym. Oni obaj byli krzykiem do Boga z odmetów swoich czasów. Obaj umieli w życiu swego narodu widzieć rękę Bożą, obaj nie widzieli dla niego ratunku poza dążeniem do Boga, Bóg w ludzkości — ludzkość w Bogu, oto była idea, którą oni Polsce przynieśli z wyżyn natchnień swoich.

Z głębi mego serca i przywiązania do Wujcia, z głębi mojej miłości i mojej wiary, tego Mu życzę i o to się modlę dla Niego, by ten podwójny jubileusz, zbiegający się z początkiem Jego rządów nad krakowską diecezją — stał się czymś więcej jak przypadkową okolicznością, symbolem i zapowiedzią! — A spokojnym o to, że przez to samo „wszystko inne dodanym Mu będzie”.

List powyższy odpisałem z pamiętnika Matki Wujca Adama, a mojej Babki, Jadwigi z Sanguszków Sapięzyny; wpisany jest także ręką żony mojego Brata Adama. Pamiętnik ten odnaleziony został w nieznanym mi sposób i oddany w 1952 r. w Kurii Metropolitalnej w Krakowie, skąd otrzymała go ciotka Pawłowa Sapięzyna.

*) Adam Żółtowski, profesor filozofii Uniwersytetu Poznańskiego. W chwili pisania listu docent U. J.